

ŚWIAT



Nr 43 (66) — Rok II

26 PAŹDZIERNIKA 1952 — DNIEM WYBORÓW

Fot: „Świat” — W. Sławny

CENA 1²⁰ ZŁ



DZIEŁO "SZTURMOWEJ BRYGADY"

NA jednej z rzek w dalekim Uzbekistanie czynna jest elektrownia wodna, do której drzwi są stale zamknięte. Nie dlatego, że wstęp do elektrowni jest wzbroniony. Dlatego tylko, że wstęp do elektrowni jest niepotrzebny. Wszystkie mechanizmy elektrowni — turbiny, generatory — pracują bez udziału człowieka. Pracę ich regulują urządzenia automatyczne, regulują w sposób bezbłędny. Dyżurny inżynier elektrowni spędza godziny pracy u siebie w domu. Słucha Czajkowskiego, studiuje Engelsa, przekopuje grządki w ogródku. Od czasu do czasu spogląda na tablicę sygnalizacyjną — czerwone światelko i dzwonek poinformowałyby go o każdej niedokładności elektrowni.

W Moskwie czynna jest fabryka produkująca tłoki do motorów samochodowych. W obszernej hali fabrycznej przebywa stale kilka osób. Wypada raczej powiedzieć „przebywa“, niż „pracuje“ — maszyny bowiem wykonują same wszystko — od odlewu do ostatecznego oszlifowania gotowego tłoku, łącznie z kontrolą na każdym etapie produkcji i opakowaniem gotowego wyrobu.

Nad Wołą, na budowie gigantycznej elektrowni wodnej, pracują koparki kroczące. W kabinie sterowniczej jednej z nich siedzi młodzieniec. Lekkim pociągnięciem dźwigni zapelnia ziemią platformę kolejową. Tak załadowuje pociąg za pociągiem. I gdy po pracy jedzie do miasta do teatru, czy korzystając z pogody płynie żaglówką po rzece, uświadamia sobie czasem, że w ciągu dwóch dni wykonał większą pracę, niż zdołałby wykonać jego dziad w ciągu całego swego życia.

Nie jest rzeczą prostą zdać sobie sprawę ze skali przeobrażeń, jakie dokonały się w Związku Radzieckim w okresie historycznie niezwykle krótkim — w ciągu zaledwie 35 lat. Nie jest rzeczą łatwą pojąć, jak ogromnego skoku dziejowego dokonał naród radziecki na drodze do komunizmu w ciągu jednego tylko pokolenia. Materiały historycznego XIX Zjazdu pomagają nam w zrozumieniu tych przemian, które są drogowskazem dla rozwoju wszystkich narodów, wyzwolonych i wyzwalających się z kapitalistycznego jarzma.

W opublikowanej w przeddzień XIX Zjazdu WKP(b) pracy Józefa Stalina „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR“ znajdujemy doniosłe sformułowanie, określające podstawowe prawo

ekonomiczne socjalizmu. Brzmi ono: „zapewnienie maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa w drodze nieprzerwanego wzrostu i doskonalenia produkcji socjalistycznej na bazie najwyższej techniki“. W tym właśnie kierunku, dla dobra człowieka i społeczeństwa, szedł cały rozwój ekonomiki radzieckiej, wielkie budownictwo pięciolatek, śmiałe przeobrażanie przyrody. Tym właśnie celom służy niezłomna, wytrwała walka ZSRR o utrzymanie, utrwalenie pokoju światowego. Do tego właśnie „maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa“ zmierza nowy plan pięcioletni, który do nowych twórczych wysiłków zmobilizował cały naród radziecki.

* * *

Siedmiomilowe kroki, którymi kroczy ku przyszłości Kraj Rad, zapalają umysły ludzi nie tylko w świecie wolnym od wyzysku i niesprawiedliwości społecznej. Miliony ludzi w krajach kapitalistycznych z podziwem i wiarą obserwują sukcesy narodu radzieckiego, osiągnięte pod przewodnictwem partii Lenina—Stalina. Partie komunistyczne i demokratyczne w tych krajach czerpią z tych sukcesów natchnienie i siły do swej walki.

„**NIE MA NA ŚWIECIE NARODU**, nie ma człowieka o czyśtych uczuciach i sumieniu nietkniętym trucizną imperialistycznego zwyrodnienia, nie ma wśród uczciwych i przodujących ludzi nikogo, kto by nie rozumiał i nie odczuwał olbrzymiej wagi słów towarzysza Stalina, zawartych w jego ostatnim przemówieniu zjazdowym. Słowa te zmobilizować będą niezliczone milionowe masy do jeszcze bardziej wytrzymałej, ofiarnej, nieugiętej walki w potężnych, rosnących szeregach bojowników o pokój między narodami, do nieustraszonej walki z podżegaczami wojennymi, do walki o wolność, demokrację i niepodległość narodów na całym świecie...

„Wielka pobudzająca siła idei, które promieniowały na świat cały w historycznych dniach Zjazdu, stanie się niewątpliwie i dla naszego narodu twórczym bodźcem cementującym i mobilizującym jeszcze mocniej nasze szeregi — szeregi Frontu Narodowego, zarówno w najbliższe dni kampanii wyborczej, jak i w dalszej wielkiej pracy nad budowaniem wielkości, potęgi i szczęśliwego jutra naszej Ojczyzny“.

BOLESŁAW BIERUT

A walka ta jest dziś poważniejsza, niż kiedykolwiek. Jej najistotniejsze cele określił Józef Stalin w swym przemówieniu na XIX Zjeździe. W okresie, gdy burżuazja depce wszelkie prawa demokratyczne obywateli, zasady równości ludzi i narodów, gdy burżuazyjne rządy za garść waszyngtońskich srebrników zaprzędają niezależność narodową i suwerenność swych państw — partie komunistyczne i robotnicze mogą i powinny ująć w swoje ręce sprawę walki o prawa obywatelskie, o niepodległość swych krajów. Podniesie to znaczenie tych partii, wzmocni ich więź z masami ludowymi.

Narody krajów kapitalistycznych, walczące o swe prawa, o niezawisłość i o pokój, nie są dziś osamotnione. Znajdują się w znacznie lepszej sytuacji, niż bohaterska partia bolszewicka, która pierwsza, sama, ruszyła na szturm carskiego samowładztwa i obszarniczo-kapitalistycznych rządów. Ta „szturmowa brygada“, awangarda postępowej ludzkości, zwycięstwem swym uforowała drogę do jasnej przyszłości nie tylko dla narodu radzieckiego, ale i dla innych narodów, które w rezultacie zwycięstwa ZSRR nad faszyzmem mogły zrzucić jarzmo władzy kapitału.

I dlatego dziś partie komunistyczne i demokratyczne mogą opierać się w

swej walce na doświadczeniach wolnych narodów, ciesząc się ich poparciem i sympatią. I dlatego — jak stwierdził Józef Stalin — „istnieją wszelkie podstawy, by liczyć na sukcesy i zwycięstwo bratnich partii w krajach, w których panuje kapitał“.

* * *

Z heroiczną walką rosyjskich komunistów o wyzwolenie społeczne i narodowe ludów Rosji carskiej wiązały swe nadzieje najlepsi synowie naszego narodu. Zwycięstwo bolszewików na barykadach Piotrogradu przed 35 laty oznaczało również zwycięstwo narodu polskiego. Świadectwem tego było uznanie prawa do niepodległości naszego narodu przez młodą Republikę Rad. Świadectwem tego było wyzwolenie naszego kraju spod hitlerowskiej okupacji przez Armię Radziecką. Świadectwem tego są wreszcie radzieckie maszyny w Nowej Hucie i Dychowie, są fundamenty Pałacu Nauki i Kultury.

Obrady XIX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego pokazały nam skalę i tempo rozwoju gospodarki radzieckiej i podnoszenia poziomu życia 200-milionowego z górą narodu. Pokazały nam nowy etap drogi po której kroczył i kroczy naród-gospodarz swego kraju. Ta droga nieprzerwanego podnoszenia potęgi narodu i stopy życiowej całego społeczeństwa jest obecnie i naszym udziałem. Nie od razu zaczynają produkować wszystkie ogromne fabryki, budowane wysiłkiem całego narodu; nie potrafimy jeszcze zapewnić sobie podwojenia spożycia masła czy mięsa w ciągu jednego pięciolecia. Ale krzywa naszego rozwoju wskazuje nieodmiennie jeden kierunek — ciągłego rozwoju i wzrostu.

Za dwa miesiące znajdziemy się już na półmetku naszego planu sześcioletniego. Sejm, do którego wybieramy właśnie najlepszych ludzi naszego narodu — opracuje nowy, pięcioletni plan rozbudowy naszej gospodarki, przekształcenia przyrody naszych rzek, całokształtu odbudowy miast. Z każdym rokiem staje się nasza Ojczyzna piękniejsza, potężniejsza — i droższa sercu każdego z nas.

Za Karpatami, za Odrą — rosną budowlę narodów-przyjaciół. W dalekich Chinach pracownicy robotnicy i chłopci przeobrażają swój kraj. Rośnie dzieło wolnych narodów, zapoczątkowane historycznym zwycięstwem „szturmowej brygady“ — partii Lenina — Stalina.

GŁOSUJEMY NA POLSKĘ

W NIEDZIELĘ, 26 PAŹDZIERNIKA, idziemy do urn wyborczych. Idziemy wszyscy, jak jeden mąż, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, w miastach i na wsi.

W niedzielę, 26 października, głosujemy na dobre losy człowieka i rozkwit okolic, które znamy od dzieciństwa, a które zmieniają się w naszych oczach. Głosujemy na piękno Placu Konstytucji, na hale Żerania i lampy na Mariensztacie. Głosujemy na muranowskie przedszkola i piece huty „Częstochowa”, na Nową Hutę i Nowe Tychy, na Gorzów, Dychów i nowosądecką trasę W—Z, na wszystko, co powstaje z naszej pracy, co jest naszą dumą. Miliony Polaków i Polek w trudzie codziennym budują nową Polskę. Miliony Polaków i Polek głosują na swoje ogromne dzieło: na siłę i szczęście Ojczyzny, dobrobyt ludzi pracy, zamożność narodu. Po stu pięćdziesięciu latach kościuszkowskie hasło o łączeniu „serc, dłoni i sposobów wszystkich tej ziemi mieszkańców” nabrało nowej treści, żywej i trwałej, oczywistej dla każdego, kto ma oczy by patrzeć.

Wojna zostawiła w naszym kraju straszliwą dymiącą ruinę, mogiły ludzi i miast. Imperialistyczni wskrzesiciele „Wehrmachtu” szkalowali ofiarą pracę polskiego ludu, werbowali dywersantów, oplacali ich, wciskali im broń do ręki. Bandyckie podziemie mordowało najlepszych synów narodu. Ale naród, który przeklął na wieki faszystowskiego najeźdźcę i poprzysiął wieczystą przyjaźń wyzwolicielem znad Wołgi i Donu — odbudował fabryki i zarość ziemię, zaludnił i zagospodarował Ziemię Odzyskaną, zabezpieczył niepodległość Ojczyzny i nienaruszalność jej granic nad Odrą i Nysą. Miliony budowniczych dźwignęły kraj z ruin i pogorzeli. Naród polski wkroczył na drogę szybkiego postępu we wszystkich dziedzinach.

„Bohaterska Warszawa jest dziś znów tętniącą życiem, coraz piękniejszą stolicą kraju. Pełną parą pracują nasze fabryki i kopalnie, odbudowało się nasze rolnictwo. Na Ziemiach Odzyskanych mieszka i pracuje siedem milionów Polaków...”

„Nasza produkcja przemysłowa wzrosła trzykrotnie w stosunku do przedwojennej. Zbudowaliśmy i budujemy setki nowych wielkich fabryk, które pomnażają siłę gospodarczą kraju i służą zaspokojeniu rosnących potrzeb ludności. Stworzyliśmy wiele gałęzi przemysłu, których nie miała Polska za czasów kapitalistów i obszarników. Z zacofanego kraju rolniczego staliśmy się krajem przemysłowo-rolniczym.

„Skończyliśmy raz na zawsze z klęską analfabetyzmu. W Polsce każde dziecko w wieku szkolnym uczy się. Mamy dziś dwa razy więcej wyższych uczelni i trzy razy więcej studentów na tych uczelniach, niż przed wojną. Nie ma dziś w Polsce wsi, z której by ktoś nie uczył się na wyższej uczelni lub nie zdobył wyższych kwalifikacji w przemyśle czy w rolnictwie, w szkolnictwie czy w wojsku”.

Te słowa Programu Wyborczego Frontu Narodowego stanowią podsumowanie tego, co już zostało dokonane. Polska klasa robotnicza uwolniła się od grozy annopolskich baraków i klęski bezrobocia. Polski chłop pracujący stał się rzeczywistym współgospodarzem kraju. Polski inteligent znalazł ogromne możliwości twórczej, owocnej pracy. Polska kobieta uzyskała równe prawa. Polska młodzież — szeroki dostęp do obranego zawodu, do nauki i do pracy.

W codziennym trudzie milionów ludzi powstała Polska „silna jak nigdy w historii, Polska związana przyjaźnią i wzajemną pomocą ze wszystkimi sąsiadami i wszystkimi krajami demokracji ludowej”, Polska związana przyjaźnią, sojuszem i braterstwem z narodami Związku Radzieckiego.

W dniu 26 października głosujemy za tym wszystkim, co zdobyliśmy. Głosujemy również za tym, co zdobędziemy. Lud, który jest gospodarzem swego kraju, umie obliczać swe siły. Program Wyborczy Frontu Narodowego nie rzuca słów na wiatr. A przecież nakreślony w Programie obraz naszej przyszłości — przypomina najbardziej natchnioną z wizji.

Oto Polska nowego Planu 5-letniego, przyszłość, którą codziennie tworzymy, do której zbliżamy się krok za

krokiem, wiedząc, że dojdziemy do niej, że można ją zbudować. Każdy z nas ma osobiste plany, osobiste nadzieje, o których często się myśli, kłopoty, na które nieraz z rezygnacją macha się ręką. Przyszłość, którą budujemy, nie godzi się na rezygnację. Nie ma takich interesów człowieka pracy, które nie byłyby zgodne z interesami jego ludowej Ojczyzny. Widzimy miasta, które były zwaliskiem gruzu, a są dzisiaj żywe i piękne. Widzimy, czego dokonali pod przewodnictwem swej wielkiej partii narody radzieckie. Polska, którą budujemy, będzie godna naszej epoki. Wzniesiemy ją na wysokość naszych marzeń.

Oto program, który będzie rzeczywistością, program, na który głosujemy w dniu 26 października:

„Potężna rozbudowa przemysłu da w roku 1960 z górą dziesięciokrotny wzrost produkcji w porównaniu z produkcją przedwojenną...”

„Podjęte zostaną wielkie budowy, które zmieniają zasadniczo warunki rozwoju całych obszarów naszego kraju...”

„Wielkie budowle socjalizmu staną się podstawą szybkiego rozwoju i przebudowy rolnictwa.

„Wzrosną ogromnie możliwości materialnego i kulturalnego rozwoju wsi polskiej.

„Zwycięskie wykonywanie planów gospodarczych stwarzać będzie warunki... dla zamożnego życia ludzi pracy w mieście i na wsi.

„Rozwijać będziemy na szeroką skalę budownictwo mieszkaniowe.

„W okresie bieżącego dziesięciolecia zakończymy odbudowę Warszawy, budowę dwóch pierwszych wielkich tras warszawskiego metra, odbudujemy Wrocław, Gdańsk i Szczecin.

„Zbudujemy miasta socjalistyczne: Nową Hutę i Nowe Tychy oraz szereg wielkich osiedli robotniczych...”

Balszy ciąg na str. 4

26
X
1952

*Oto jak wyrok przeciw szujom,
co chcą ginać świat obronić
składałam swą kartę i głosuję:
koniec!*

*Nie ma powrotu do nas dziedzic,
rodzimy burżuj, obcy baron —
o swojej drodze dobrze wie dziś
Naród.*

*Starczy zapału do tworzenia,
starczy dla wrogów nienawiści.
Idziemy w walce zjednoczeni
wszyscy!*

*W imię Ojczyzny, w imię szczęścia,
co żelbetonem rośnie wokół.
niesiemy głosy w mocnych pięściach:
pokój!*

HENRYK GAWORSKI



Program ten znamy wszyscy. My, którzy będziemy go urzeczywistniać, i wrogowie, którzy uczyniliby wszystko, żeby nam się to nie udało. My, którzy będziemy truć się dla pokoju nad Wisłą i wszystkimi rzekami świata, i oni, wrogowie pokoju, wrogowie naszego życia, którzy chcieliby podpalić całą ziemię i zniszczyć pracę ludzkich rąk.

Dlatego głosujemy przeciwko nim, przeciwko katom z nowych koreańskich Majdanków, przeciwko amerykańskiemu dziedzicom hitlerowskiego najazdu na Polskę, przeciw najmitom imperializmu.

Dlatego głosujemy wszyscy, jak jeden mąż. — Za Polską, za pokojem, za socjalizmem.

„Kto staje w szeregach Frontu Narodowego, kto wzmacnia jego jedność i przyczynia się do osiągnięcia jego wielkich i sprawiedliwych celów — jest patriotą.

„Kto jedność narodu świadomie rozbija — jest wrogiem“.

Front Narodowy — to Polska i jej przyszłość, sprawa, która nie jest i nie może być obojętna żadnemu Polakowi.

Front Narodowy — to nieubłagana walka z wrogami Polski, to obezwładnienie każdej zbrodniczej ręki, która ośmieliłaby się targnąć na nasze zdobycze, na nasze miasta i porty, na naszych ludzi.

Dlatego na Program Frontu Narodowego i jego kandydatów będziemy głosować wszyscy. Jeżeli wrogowie liczą na wyrwy w szeregach narodu — to raz jeszcze pomyślą się. Odpowiemy im jednomyślnym udziałem w ludowych wyborach na ludowych kandydatów. Odpowiemy im milionami naszych kart wyborczych.

Mamy niemało trudności w codziennym życiu, wiele drobnych i większych trosk codziennych, nie zawsze i nie wszystko możemy kupić, jakiś artykuł jest drogi albo rzadko pojawia się w handlu. Wiemy, skąd to pochodzi: wiemy, że mamy w naszym kraju miliony nowych nabywców, że rozwój rolnictwa pozostaje w tyle za rozwojem przemysłu, że, wreszcie, istnieje wrogi sabotaż kulaka i spekulanta. Ale przede wszystkim wiemy, że budowa socjalizmu nie jest i nie może być łatwą sprawą. Zwłaszcza zaś w okresie, w którym atlantyccy militaryści wskrzeszają hitlerowskie arsenały — nie tylko arsenały goebbelsowskiej propagandy, ale również nowy agresywny „Wehrmacht“ i jego przemysłowe zbrojownie, zagłębia czołgów i śmierci.

Mamy więc trudności codzienne, ale mamy również — w obliczu antypolskich knoń amerykańsko-hitlerowskiej koalicji — dumną pewność, że „minął i nie wróci wrzesień 1939 roku, minęła i nie wróci nigdy hańba bezsilności naszego kraju wobec najeźdźców“. Mamy trudności codzienne, ale mamy również pewność, że w codziennej pracy i walce potrafimy je pokonać.

Manifestacją tego niezłomnego przekonania, ożywiającego miliony obywateli naszego kraju, będą właśnie wybory w dniu 26 października. I również dlatego weźmie w nich udział każdy patriota, każdy Polak i każda Polka.

Wiemy, co wybieramy. I wiemy również, kogo wybieramy.

Były wybory, które poprzedzała terrorystyczna akcja policji. Działo się tak w sanacyjnej Polsce, dzieje się tak dotąd w krajach za amerykańską kurtyną.

Były wybory, które stanowiły jedno wielkie targowisko czczych frazesów i skandalicznych afer. Dzieje się tak dotąd w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, w Grecji, Francji i Egipcie. Działo się tak również w przedwrześniowej Polsce.

Pod pozorem walki stronnictw rugowano z parlamentu przedstawicieli ludności pracującej. W faszystowskim sejmie polskim z 1935 roku nie było ani jednego robotnika i ani jednego chłopca. 70 obszarników i kulaków, 16 fabrykantów, 19 adwokatów i notariuszy, 53 sanacyjnych dygnitarzy oraz przedstawiciele grup finansowych i pomniejszych sanacyjnych agencji — taki był ich sejm. Hrabia Artur Tarnowski był „rolnikiem z okręgu 79“, starosta Gładysz i obszarnik Krzywoszyński — „rolnikami z okręgu 97“, obszarnik Doniszurski — „rolnikiem z okręgu 96“. Czetwertyńscy, Sapiehowie i Lubomirscy reprezentowali „wieś“, Wierzbicki i Evertowie — „miasto“, a cały sejm znakomicie nadawał się do popierania faszystowskiej polityki przedwrześniowych gabinetów i sanacyjnej soldateski. W Polsce kapitalistycznej i obszarniczej było 8 milionów „zbędnej ludności wiejskiej“, było 700 tysięcy bezrobotnych zarejestrowanych i co najmniej drugie tyle niezarejestrowanych. Sejm Tarnowskich, Wierzbickich i Becków był gwarancją utrwalenia nędzy ludu Sejmowi Tarnowskich, Kaweckich i Wierzbickich szło o swoją Polskę, o faszystowski, pół-kolonialny folwark, o Berezę Kartuską i Goeringa w Białowieży. Im szło o granatową policję, o utrzymanie w ryzach robotników i chłopów, o swoje karczemne burdy i folwarczne przywileje. Dlatego wtedy kumali się z Hitlerem, a dzisiaj w Waszyngtonie i Bonn kumają się z najzjadlejszymi wrogami naszego narodu. Dlatego też nie podobają się im nasze wybory. Podobał im się Hitler,

i obszarnicy w sejmie, podoba im się Adenauer i antypolska kampania rewizjonistów z Bonn, ale nasi ludowi kandydaci nie podobają im się zdecydowanie.

Oni woleliby zamiast programu budowy silnej i niepodległej Polski Ludowej — program likwidacji niepodległości naszego kraju i skolonizowanie go przez IG Farben i koncern Coca-Cola. Oni woleliby zamiast list Frontu Narodowego — listy frontu notorycznych fałszyków i wrogów pracującej ludności.

Oni prą do wojny przeciw Polsce. My utrwalamy pokój i niepodległość naszego kraju. Oni chcieliby swoich dawnych kandydatów. My wybierzemy jednak nasz ludowy Sejm, w którym nie ma miejsca dla wrogów ludu pracującego; ludowy sejm, w którym wszystkie miejsca zajmują najlepsi synowie narodu.

Wśród naszych kandydatów na posłów i zastępców posłów, 288 wywodzi się z klasy robotniczej, a 150 z nich wysuniętych zostało do sejmu wprost od warsztatu; 233 wywodzi się z pracującego chłopstwa, a 120 z nich wysuniętych zostało wprost od pług; 120 kandydatów — to pracujący inteligenci; obrazu zaś przyszłego sejmu dopełnia fakt, że wśród kandydatów na posłów są 74 przedstawicielki kobiet, biorących coraz aktywniejszy udział w życiu politycznym, gospodarczym i społecznym nowej Polski.

Wspólny program narodu, wspólne listy Frontu Narodowego, kandydaci narodu — taka jest wymowa naszych ludowych wyborów.

Głosujemy na program, pod którym podpisujemy się naszą pracą i który pracą naszą urzeczywistnimy.

Głosujemy na ludzi, których znamy — najlepszych, najofiarniejszych spośród nas.

Na czele naszego ludowego państwa stoi były drukarz, Bolesław Bierut. Naszymi siłami zbrojnymi dowodzi były warszawski kamieniarz, Konstanty Rokossowski. Na listach naszych kandydatów na posłów są ludzie, z którymi pracujemy na rusztowaniach tej samej budowy, w tej samej hali fabrycznej, w tej samej spółdzielni produkcyjnej, na polach jednej wsi. Ludzie tacy, jak przodownik pracy Błaut, jak przodujący chłop z koszańskiego, Pingielski, jak nowator techniki metalurgicznej, profesor Biernawski. Ludowi kandydaci ludowego sejmu, kandydaci mas pracujących miast i wsi — oto ludzie na których będziemy głosować 26 października.

Umocnienie niepodległości zjednoczonej Ojczyzny, umocnienie i utrwalenie pokoju, wzrost dobrobytu i coraz lepsza przyszłość ludzi pracy, rozkwit i siła Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — oto program, na który będziemy głosować wszyscy. Gdyż w głosowaniu za pokojem i wielkością narodu — nie może zabraknąć ani jednego Polaka, żadnego z nas!

26 października zmanifestujemy jedność narodu, który wybrał najpiękniejszą z dróg: drogę ludzkiego szczęścia.

T. TREPKOWSKI

52

TWO



1 Prawo głosowania mają wszyscy obywatele Polski Ludowej od 18 lat wzwyż: kobiety, mężczyźni i młodzież, partyjni i bezpartyjni, mieszkańcy miast, wsi i osiedli.

Prawo głosowania ma każdy obywatel polski, niezależnie od wyznania, wykształcenia, zawodu, pochodzenia społecznego, stanu majątkowego, niezależnie też od tego, jak długo zamieszkuje w obwodzie głosowania.

2 Spisy wyborców zawierają nazwiska wyborców danego obwodu. Spisy zostały sprawdzone, uzupełnione i wszelkie niedokładności usunięte, tak, że żaden wyborca nie może być pominięty.

Każdy zatem wyborca, a więc również i ten, który nie zdążył sprawdzić swego nazwiska — figuruje w spisie wyborców i ma prawo i obowiązek głosowania.

Obywatel zaś, który służbowo czy z innych względów musiał wyjechać i nie będzie w dniu wyborów obecny w tej miejscowości, gdzie fi-

guruje w spisie, winien zaopatrzyć się w „zaświadczenie o prawie głosowania” w Radzie Narodowej, w miejscowości, z której wyjechał. Na podstawie tego zaświadczenia będzie mógł głosować tam, gdzie znajdzie się w dniu 26 października.

3 Prawo głosu mają również ci, którzy zgubili lub z innych powodów nie mają dokumentów tożsamości. Wystarczy bowiem, by tożsamość takiego wyborcy stwierdziły dwie wiarygodne osoby.

4 Głosowanie odbywa się w lokalu obwodowej komisji wyborczej, od godz. 6 do 22. Każdy wyborca otrzymuje od komisji wyborczej kartę do głosowania. Na karcie tej są wypisane nazwiska kandydatów na posłów i ich zastępców w takiej ilości, jaka powinna być wybrana w danym okręgu wyborczym.

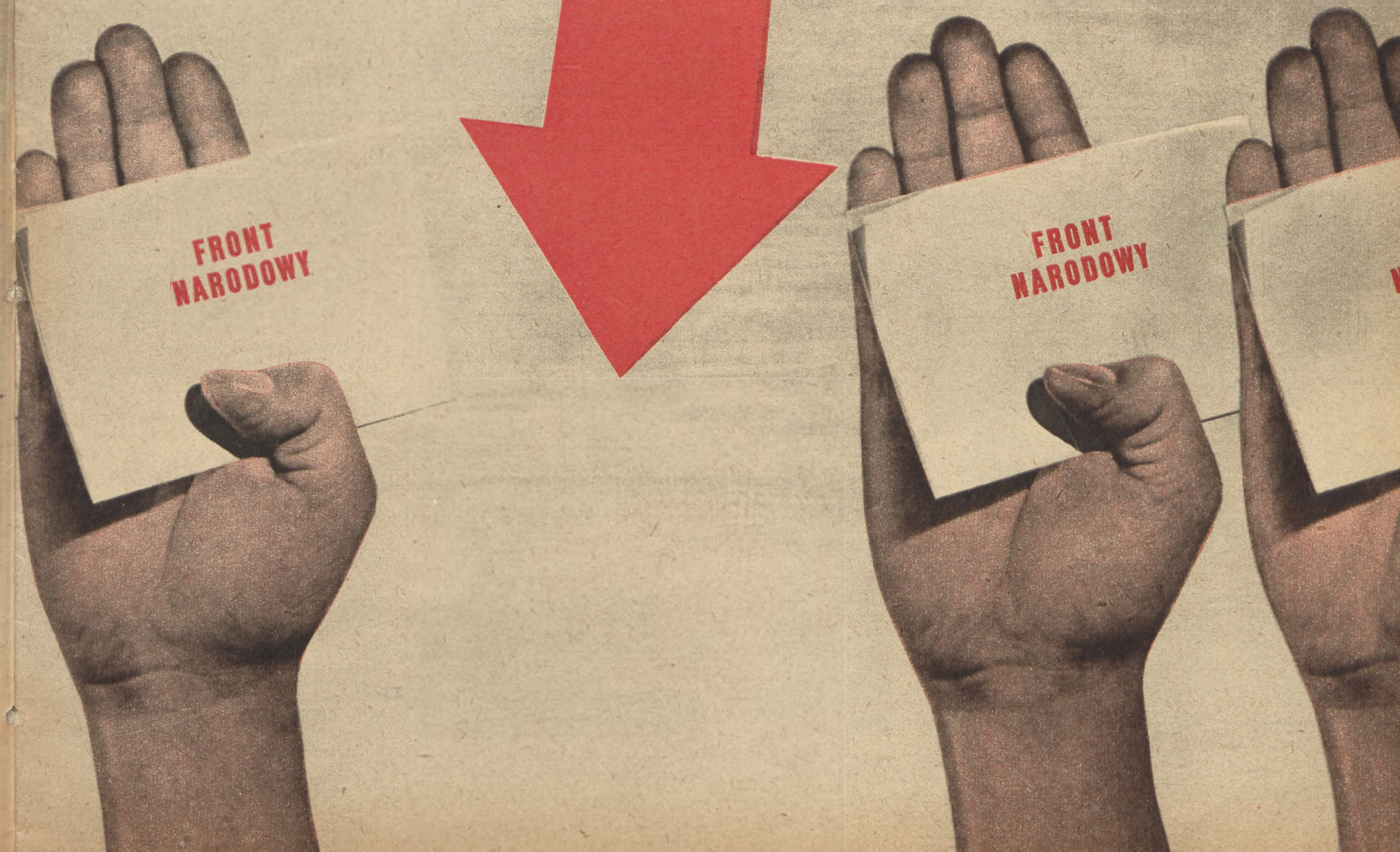
Wszyscy ci kandydaci na posłów i ich zastępców są kandydatami ludu, kandydatami Frontu Narodowego. To są ci, którzy — jak mówi Pro-

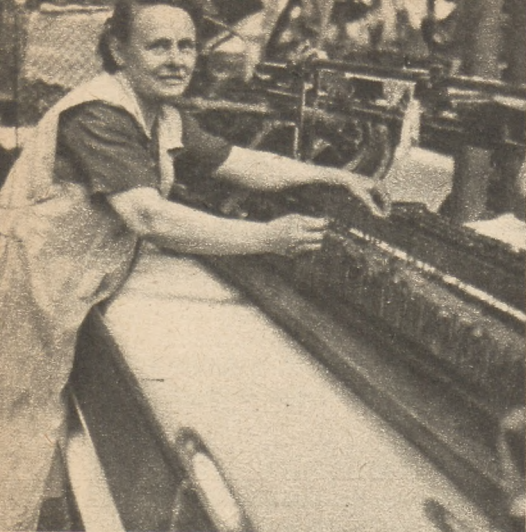
gram Wyborczy Frontu Narodowego — „od lat walczyli o wyzwolenie narodowe i społeczne i ci, którzy wyrosli w pracy dla Polski Ludowej, przodownicy pracy i przodujący chłopci, żołnierze, przedstawiciele inteligencji, kobiet, młodzieży” — a więc są to najlepsi ludzie naszego narodu. Każde zatem nazwisko jakie wyborca znajdzie na karcie do głosowania, powinno mu być równie bliskie i drogie.

W każdym lokalu wyborczym znajdować się będzie urna. Do tej urny wyborca wrzuca kartę do głosowania.

NIEDZIELA 26 października — to wielki dzień dla każdego obywatela Polski Ludowej. Bo głosując na listę Frontu Narodowego, każdy wyborca zamanifestuje, że jest wiernym synem swego narodu, że wraz z całym swym narodem jest bojownikiem wielkiej sprawy pokoju, umocnienia niepodległości swej Ojczyzny, rozwoju jej sił gospodarczych, jest bojownikiem w walce o dobrobyt ludzi pracy w naszym kraju, o szczęście naszego narodu.

JE MIEJSCE





Wiktoria Zielonka, kandydatka na posła do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jest już wielokrotną przodownicą pracy w łódzkim włókiennictwie.

ROBOTNIK stanął przed okienkiem kasy. Był chudy, po minionym strajku okupacyjnym został z niego cień. Położono przed nim 2 złote 50 groszy mówiąc:

— To reszta należności. Teraz niech sobie Zielonka kupi sznur i powiesi się na nim, bo dla Zielonki już nigdzie pracy nie będzie.

Chuda dłoń robotnika zgarnęła drobne i leżące obok nich zaświadczenie. Wsunął to wszystko do kieszeni, wcisnął czapkę na głowę, postawił kołnierz, wy-

...Wśród kandydatów na posłów i zastępców 288 wywodzi się z klasy robotniczej — z czego 150 wysuniętych zostało do Sejmu wprost od warsztatu; 233 wywodzi się z pracującego chłopstwa — z czego 120 wysuniętych zostało wprost od pługa; 120 wywodzi się z inteligencji pracującej.

MÓJ SYN SIĘ KSZTAŁCI

szedł na ulicę. Wiał wiatr, słońce było jakieś odległe, nie dawało zupełnie ciepła. Szedł w kierunku domu myśląc o żonie swojej Wiktorii, która straciła pracę razem z całą załogą po pożarze fabryki. Żle się jakoś dla nich zaczynało. Ziemia pod nogami niby jednakowa dla wszystkich ludzi, a przecież niejednakowa — dla jednych syta, obfitująca w plony, innym się spod nóg umyka...

Zielonka wszedł do mieszkania i zatrzymał się w drzwiach. Nic nie mówił. Gdyby mu kazali wziąć żelazny drąg i uderzyć tę drobną, wątłą kobietę — żonę — byłoby mu równie ciężko jak teraz, gdy miał jej oznajmić, że znów jest bez pracy. Wiktoria popatrzyła na niego uważnie. Wstała. Niepokój odbił się w oczach, ręce zaczęły drżeć.

— Mów, co się stało? Zwolnili cię?

Kiwnął głową, potem podszedł do okna:

— Takie życie, że niech to diabli wezmą!

Wiktoria stanęła za nim.

— Dopóki żyjemy, jesteśmy zdrowi — mówię ci — głowa do góry! Łódź to duże miasto. Zwolnili cię u Zylbersztajna — znajdziesz pracę gdzie indziej. Zobaczysz.

Zaczął się wędrowka od jednej do drugiej fabrycznej bramy — nigdzie nie chcieli Zielonki przyjąć. Był rok 1933. W zaświadczeniu, które otrzymał od Zylbersztajna, nie było nic negatywnego, lecz mimo to, ilekroć je okazał, sprawa upadała, przestawano z nim rozmawiać, odprowadzano go. Był niepożądany. Szedł dalej. Zrozumiał, że przeszkodą największą jest zaświadczenie. Przestał je więc pokazywać.

— Ty wiesz — mówił do żony — że ja mogę nieźle robotą potrząsnąć. Zebym się tylko dorwał do pracy — do siódmego potu się wysilił — muszą mnie przyjąć.

Szedł znowu szukać zajęcia, postanowiwszy użyć niewinnego fortelu.

— Macie zaświadczenie? — pytali go.

— Mam — przetrząsał kieszenie — ale w domu zostawiłem. Jutro przyniosę.

Zaczynał pracę. Wkładał w nią wszystkie siły, wszystkie nerwy, całą energię, całą inteligencję. Chciał okazać, że umie pracować. Wydawało mu się, że przyjęcie do fabryki, to już tylko kwestia formalności. Przychodził następnego dnia, stawał znowu do roboty.

— Zaświadczenie jest?

— Jest.

Człowiek czytający zaświadczenie składał je, podawał Zielonce, później mówił:

— Ubierać się i do domu.

Kapitał był solidarny. Uczestnik strajku, walczący o prawa ludu pracującego, nie był elementem tolerowanym. Wszystkie drzwi przed nim zamknięto małą adnotacją na zaświadczeniu. Wracając do domu Zielonka zaciskał zęby i pięści tak mocno, że mu szczęki grzbiały, a skóra na palcach białała. Zona Wiktoria wysuwała się z izby, wychodziła mu naprzeciw i z milczącej zadumy poznawała, że dzisiejszy dzień znowu stracony.

— Pójdę ja do Zylbersztajna — zawołała kiedyś podnosząc głowę.

— A ty po co?

— Zwolnili ciebie, niech mnie przyjmą.

— Nie przyjmą cię — mówił mąż wzruszając ramionami.

— Zobaczmy — odpowiedziała Wiktoria, która myślała coraz częściej, że im i dziecku grozi skrajna niedza, głód.

Trzy razy dziennie kazano jej się zgłaszać w zakładach Zylbersztajna po odpowiedź czy została zatrudniona. Trwało to przeszło dwa tygodnie. Ktoś może bawił się jej kosztem wyznaczając takie terminy. Może spodziewano się, że ją to zniechęci. Ale żona bezrobotnego, matka małego dziecka, nakazywała sobie cierpliwość, choć i jej się dłonie zaciskały w pięści a gorzkie słowa same przychodziły na pamięć. Milczała. W końcu przyjęto ją. Odtąd pracowała trzy razy w tygodniu. Niewielki zarobek dzieliła na potrzeby dziecka, męża i swoje. Mąż całymi dniami szukał pracy. Szukał jej daremnie od roku 1933 — pełne trzy lata — okres kary, zastosowanej przez kapitał wobec człowieka, który ośmielił się brać żywy udział w strajku okupacyjnym. A i potem, choć pracę dostał, zatrudniono go na kilka dni w tygodniu. Redukcje i okresy bezrobocia przeplatały aż do końca jego życia.

Drobna postać Wiktorii Zielonki kuli się w sobie przy tych partiach opowiadania, które dotyczą ciężkiej przeszłości. Powiedziawszy mi o swoim przeżytym bólu, o przedwczesnych zgonach nienarodzonych jeszcze dzieci, podnosi dłoń i prosi mnie delikatnie:

— O tym nie piszcie...

Pragnąc opowiedzieć o śmierci męża i córeczki, zamordowanych przez hitlerowców u schyłku wojny, Wiktoria Zielonka przymknęła oczy i milczała przez kilka minut. Kiedy spojrzała na mnie, poradziłam:

— Jeżeli wam ciężko — nie mówcie. Ja was rozumiem.

I po chwili zadałam pytanie:

A gdzie syn?

Rozjaśniły się oczy, uśmiech wrócił na usta.

— Mój syn się kształci. Od jego zdolności zależy, czym będzie. Tak teraz jest. Wiecie, kiedy zauważyłam, że interesują się moim przeżyciem wojennym, że interesują się pracą człowieka, zrozumiałam, że spełniło się to, o co walczył mój mąż. On nie dożył. Ale ja pamiętam jego myśli, wiem, czego pragnął. I będę za siebie i za niego pracować, póki siły!

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

Fragment ze zbioru opowiadań S. Szmaglewskiej p.t. „Sykietki łódzkie prządek”.

OLGA DUDIK

POD drzwiami swej chaty w Smolnicy Olga Dudik często znajdowała anonimowe pisma tej samej zwykłej treści: „Nie damy wam, dziady, zorganizować spółdzielni...” Nie przejmowała się tymi pogrozkami i wytrwale dążyła do celu, który obrała sobie już dawno, jeszcze gdy w czasie wojny pracowała na ziemi radzieckiej w sowchozie Motorskim.

W Smolnicy wielu było biedaków, takich właśnie „dziadów”, posiadających jednego najwyżej konia i po kilka hektarów ziemi: Sulmowie, Sokołowie, Szankorowie. Oni to doprowadzili do tego, że mimo kulackich grózb powstała jednak we wsi spółdzielnia „Wspólny Kłos”.

Olga Dudik była w niej dojarką, ale interesowała się wszystkim, co działo się dokoła, i nigdy nie straciła sprzed oczu tego życia, które widziała w kraju Kra-

snojskim. Zapisala się do Ligi Kobiet i odważnie walczyła o udział gospodyń wiejskich w życiu społecznym okolicy. Kto stał temu na przeszkodzie? „Był w powiecie zjazd Ligi Kobiet — wyjaśnia Dudik — to ze Smolnicy tylko niektóre przyjechały, bo... mężowie zabronili im „politykę” się zajmować. I bywa tak, u nas i gdzie indziej, że kobieta bez poszanowania jest u męża...”

Pełne życie wsi, znaczy takie życie, aby rozwinęła się kultura, aby wszędzie powstały żłobki, świetlice, kółka amatorskie, biblioteki, kluby agrotechniczne podnoszące wiedzę rolniczą, kina, kluby dyskusyjne — oto cel, do którego zmierza Olga Dudik. Ta właśnie działalność wyniosła ją na kandydatkę do Sejmu z okręgu szczecińskiego. — Przyrzekam — stwierdziła — że resztę swych lat życia oddam na to, aby naród nasz mógł odetchnąć pełną piersią.



Pierwsze śniadanie jest skromne, spóźnione pośpiesznie, bo dzwon spółdzielczy nagli: czas do pracy w oborze.



Praca dojarki jest trudna, rozpoczyna się ze świtem, gdy inni jeszcze śpią, ale Olga Dudik poświęca jej wszystkie siły, gdyż uważa, że hodowla jest najpilniejszym zadaniem wsi.



W biurze spółdzielni zawsze jest ktoś z członków zarządu. Można z nimi porozmawiać o gospodarce. — Dach przecieka, trzeba go zreperować — mówi Dudik, bo troszczy się o wszystko.



„Obywatele — mówi Kwieciński do chłopów z myśliborskiego powiatu — chłopci nie mogą żyć osobno. Wspólny jest nasz rząd robotniczo-chłopski i wspólna nasza przyszłość. Razem przecież budujemy naszą ludową Ojczyznę”.

JAN KWIECIŃSKI

SAM pozostał z całej wyrobniczej rodziny, która mieszkała kiedyś w Kazimierzu Biskupim koło Konina. Rodzina Kwiecińskich nie posiadała ziemi i jak wybawienia czepiała się każdej ckiej zarobku. Pisał o takich rodzinach Lucjan Rudnicki w „Starym i nowym”, choć przebywających w miasteczku, na wpół jednak wiejskich z trybu życia i zainteresowań. Kazimierz Biskupi nie był ani większy, ani mniejszy od Sulejowa nad Pilicą.

Po wojnie osiadł Jan Kwieciński w Ściechówku, w myśliborskim powiecie. On jeden doczekał ziemi, o której tak marzył ojciec, a nigdy nie mógł się jej dorobić. Choć pracował od świtu do nocy — chodził w spodniach z farbowanego worka i buty miał podbite drewnem. Dzieci same musiały zarabiać na swe utrzymanie. Dlaczego tak było — nieraz zastanawiał się Kwieciński, gdy był już sołtysem, prezesem gromadzkiego Związku Samopomocy Chłopskiej, radnym Gminnej Rady Narodowej.

Gorzkie dzieciństwo nie dawało mu spokoju.

Gdzieś w początkach 1950 roku dostał do ręki statut spółdzielni produkcyjnej. Przeczytał go jeszcze wieczorem i zaczął rozważać: „To jest słuszną drogą dla ludzi — pomyślał — wspólnym, gromadzkim wysiłkiem zawsze więcej się zrobi niż w pojedynkę”. Wieś aż szumiała od plotek, ale Kwieciński spróbował. Nie szło łatwo, ale co idzie łatwo na wsi, tak nieufnej nowemu. Wtedy dokładnie też zrozumiał, na czym polegało zło przedwojennego ustroju w Polsce. Uświadomił mu to kulacy zawzięcie zwalczający jego działalność.

Kwieciński nie lubi, gdy mówią, że ma tyle różnych zasług. — Nasza spółdzielnia to wynik pracy wszystkich jej członków. I nadal pracować musimy całą gromadą, gdyż inaczej nasz Ściechówek nie wzrośnie, nie wypięknieje.

Jednak jest przykładem dla całej okolicy i dlatego wysunięto jego kandydaturę na posła. Uczynny, chętnie służy radą i pomocą, toteż zdobył sobie zaufanie wszystkich okolicznych chłopów.

BIAŁY GOŁĄB W PEKINIE

Radiogram własny „Świata” z Pekinu

PEKIN ma dziwnie urzekającą siłę, potrafi oczarować każdego, i przyczyną tego nie należy bynajmniej doszukiwać się jedynie w egzotyce tego miasta, pięknie jego architektonicznych zabytków, czy wielobarwności ulic. W Pekinie urzeka przede wszystkim jakaś niezwykła, świeża i młodzieńcza radość bijąca zewsząd: i z twarzy mieszkańców, i ich czynów, i z ich zachowania się. Pekin i nowe życie, którym stolica Chińskiej Republiki Ludowej tętni dzisiaj, urzeka każdego z nas. I dlatego przyszedł z dziesiątków krajów na Kongres Narodów Azji i Pacyfiku wykorzystują każdą chwilę na obejrzenie miasta.

Wspaniały jest Pekin zwłaszcza wieczorem, kiedy, po pracy, na olbrzymim placu Tienanmen rozbrzmiewają dźwięki chińskiej pieśni i wielotysięczny tłum zaczyna tańczyć, śmiać się i bawić. Jest w tym tańcu i w tej radości coś, co przypomina taniec ludu na gruzach Bastylii. To porównanie, użyte przez jednego z kolegów, chyba najtrafniej oddaje charakter radości chińskiego narodu.

Rozmawialiśmy w tanecznym kole z dziewczyną imieniem Wan Tsu-szia, młodą nauczycielką w pekińskiej szkole początkowej. Kiedyśmy słuchali historii jej życia, opowiedzianej zaledwie w kilku zdaniach, powody, dla których dziś tańczy i cieszą się nowym z takim trudem wywalczonym życiem, dziesiątki i setki milionów jej braci i sióstr, stały się najzupełniej oczywiste. Przecież lud chiński nie miał do niczego prawa. Nie wolno mu było przekraczać tysięcy zakazanych sfer, dostępnych jedynie albo dla potentatów, albo dla cudzoziemców. Chiński chłop czy robotnik nie był gospodarzem nawet we własnej, nędznej lepiance. I oto dziś, dzięki zwycięstwu rewolucji, dzięki ofiarnej wieloletniej walce, stał się on gospodarzem całego kraju. Gospodarzem mądrym, zaradnym, świadomym ogromu odpowiedzialności, jaki spadł na jego barki. Wan Tsu-szia tańczy i śpiewa, bo poczuła całą wielkość wyzwolenia, bo może uczyć dzieci chińskich robotników trudnej sztuki czytania i pisanja, może im mówić o braterstwie między ludźmi, może je uczyć słodko brzmiących pieśni o pokoju.

Kolor pokoju w Chinach jest zielony. Małe dziewczynki idą parami na spacer, a wiatr rozwiewa niesforne czarne włosy, spięte zielonymi kokardami. Na ciężarówce wiozącej worki cementu, przeznaczonych na budowę jednego z wielu nowych domów w Pekinie, łopocze zielony transparent, głoszący: „Walczyliśmy o wyzwolenie chińskiej ziemi, walczymy dziś o pokój”. Szofer ciężarówki, to uczestnik wielu bitew, to jeden z wielomilionowej rzeszy kombatantów chińskiej rewolucji, pamiętający wielki marsz i bohaterskie czyny pod wodzą Mao Tse-tunga. „Jesteśmy narodem, który boleśnie poznał cenę wojny” — mówi Czang-Ho. „Wiemy, że wojny niesie imperializm, którego straszliwe rządy przez tyle lat cierpieliśmy w naszym kraju. Wiemy, że dziejki wyzwoleniu naszego kraju mogliśmy przystąpić do pracy dla pokoju. Mam brata, który jest ochotnikiem w Korei i który pisał mi w liście, że uczyni wszystko, aby nie dopuścić do rozprzestrzenienia wojny. Ze on i jego towarzysze koreańscy i chińscy będą walczyć tak, aby zdusić wojnę w zarodku”.

Rozmawialiśmy, stojąc na wprost wejścia na wystawę, obrazującą ogrom barbarzyństwa i zezwiercenia imperializmu amerykańskiego. Mielśmy jeszcze wszyscy przed oczyma dokumenty i dowody zbrodni, która wstrząsnęła sumieniem ludzkości. Nikogo z nas nie zdziwiły słowa szofera, ani powtórzone przezeń myśli jego brata. Rozmawiałem z wieloma delegatami z różnych krajów na temat wojny bakteriologicznej, rozpetanej przez amerykańskich ludobójców i wszyscy oni byli zgodni w swych opiniach, wszyscy opowiadali swe wrażenia z tym samym wyrazem gniewu i nienawiści w oczach.

— Kiedy czytałem sprawozdanie komisji uczonych, którzy badali fakty prowadzenia wojny bakteriologicznej na Korei i w północno-wschodnich Chinach — mówił doktor Molawija, jeden z licznych delegatów hinduskich i członek hinduskiego parlamentu z ramienia Partii Kongresu Narodowego — zadrżałem. Kiedy czytałem, a później słuchałem nagranych na taśmie zeznań jeńców wziętych do niewoli i przyznających się, iż sami rzucali bomby, wypełnione śmiertelnościami bakteriami, serce we mnie zamarało. Kiedy oglądałem setki autentycznych dowodów potwornych zbrodni, zadrżała we mnie piekająca nienawiść. I choć różne są moje poglądy polityczne od poglądów niektórych członków naszej delegacji na różne zagadnienia, to w jednym punkcie zgadzamy się ze sobą całkowicie i bez reszty, w tym punkcie, który wymaga całkowitej jedności wszystkich uczciwych ludzi, aby położyć kres niehumanitarnym wojnom, kres imperialistycznym prowokacjom, aby utrwalić pokój”.

Z tym samym przeświadczeniem i z tym samym ślubowaniem walki przeciwko zbrodni opuszczali salę wszyscy bez wyjątku wysłannicy 38 krajów.

— Kiedy chodzę ulicami Pekinu, kiedy obserwuję tętniącą radością i poczuciem szczęścia życie stolicy chińskiego narodu — mówił mi amerykański poeta Wheatman — zaczynam jeszcze boleśniej odczuwać zbrodnie popełniane w imieniu mojego narodu. Kiedy patrzę, jak to miasto kocha pokój, jak ten naród trzusi się dla jego utrwalenia, rozumiem, że nie wolno mi załamać się przed żadną trudnością, że nie wolno ani mnie, ani żadnemu uczciwemu Amerykaninowi spocząć, dopóki cały nasz naród nie pojmie okrucieństwa swych władców. Będę pisał o pokoju po powrocie do ojczyzny, a przed oczyma będę miał obraz radosnego, pokojowego Pekinu i całej chińskiej ziemi, która jest dziś natchnieniem w walce o wolność i pokój dla bardzo wielu narodów naszego rejonu geograficznego.

Pekin, miasto pokoju, miasto, w którym ponad czterystu przedstawicieli reprezentuje miliard sześćset milionów mieszkańców kuli ziemskiej, podjęło doniosłe uchwały mobilizujące naród do jeszcze bardziej wytrwałej walki o pokój, stał się natchnieniem dla wielu poetów. I nic dziwnego, że wielki poeta turecki, oczarowany tym miastem, napisał krótki wiersz, mówiący w prostych słowach o Pekinie, mieście pokoju:

*Mój gołąb jest bielszy od mleka matki
Pekin uwił dla ciebie gniazdko
Pośród czerwieni swych murów
Na najpiękniejszym placu.*

Rojny i gwarny jest Pekin — miasto pokoju, stolica wielkiego, zwycięskiego narodu. Wypełnia je gwar pracy, gwar radosnego trudu nad budową nowego życia, wieczorem gwar wesołości, mówiący o szczęściu tego narodu, o jego dumie, że jest już na zawsze wolny, o jego zdecydowaniu, że nie pozwoli już nigdy, aby wróciły lata cierpień i łez.

Zegnamy wysłanników pokoju z wielu dziesiątków krajów — Pekin przekazywał im na drogę swój entuzjazm pracy, przekazywał im wieść o radości chińskiej ziemi, stał przez nich braterskie pozdrowienie wszystkim, którzy ocknęli się i porwali do walki w obronie wolności i pokoju. Pekin — miasto pokoju, przekazuje dziś swą radość setkom milionów ludzi, stolicom wszystkich jeszcze zależnych i jeszcze ciemniejszych narodów. Z Pekinu płynie we wszystkie krańce Azji, Ameryki, Australii, we wszystkie strony świata jedno głośnie wezwanie bojowników o pokój: „Zróbcie wszystko, aby radość i szczęście, które promieniuje z Pekinu od trzech lat, mogło promieniować we wszystkich stolicach świata, zróbcie wszystko, aby narody przestały cierpieć, aby dzieci mogły się śmiać i uczyć, a matki i ojcowie pracować dla pokoju, nie znając strachu przed wojną i zbrodnią.

MARIAN BIELICKI

JUTRO NADEJDZIE NA PEWNO

Len bez lenistwa • Aby las szumił dalej • „Powróżyc, panoczku, powróżyc?” • Gdzieś pod korytem Wisły • Na ścianie i na mocnym gruncie • Uczy 1.200 — uczy się 8.850 • Kombinat wiedzy

Tekst: LUCJAN WOLANOWSKI

Zdjęcia: inż. KAZIMIERZ GIEDROYĆ I ZDZISŁAW MAŁEK

Wyobraźcie sobie, że macie przed sobą ludność jednego z powiatów w naszym kraju — ot, liczącego sobie tak między 10 a 11 tysiącami mieszkańców. Wyobraźcie sobie dalej, że wszyscy ci ludzie uczą się albo uczą innych, że zajmują się wyższym wykształceniem technicznym. Taki wielki „kombinat wiedzy” — to Politechnika Warszawska, jedna z największych uczelni w Europie.

Kilka informacji podał nam jej rektor — prof. Jerzy

Rektor prof. Bukowski powiedział, że istniejąca od pół wieku Politechnika Warszawska zyskała sobie już w okresie przedwojennym opinię uczelni o wysokim poziomie, ale jej rozwój ograniczony był bezplanową, koniunkturalną, często sprzeczną z interesami narodowymi gospodarką kapitalistycznych rządów. W okresach kryzysowych absolwenci Politechniki musieli często szukać pracy nie odpowiadającej ich kwalifikacjom i kierunkowi studiów.

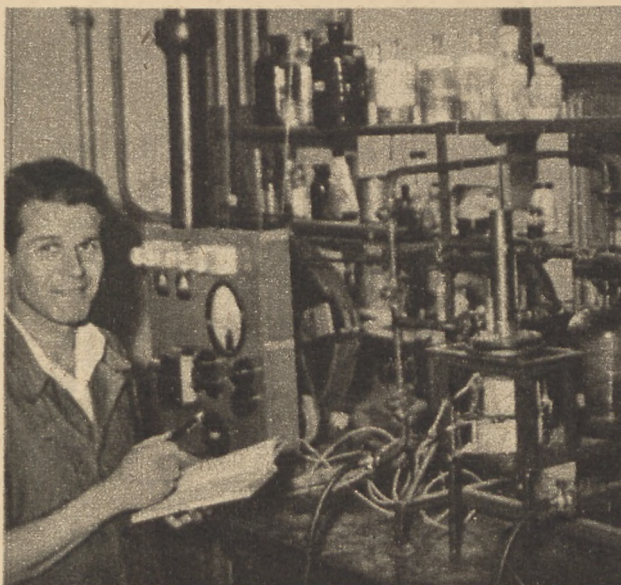
W rezultacie najazdu hitlerowskiego 90% budynków Politechniki zmieniło się w gruz; większość mienia uczelni uległa zniszczeniu. Punkt zerowy — to początek roku 1945, kiedy prorektor prof. S. Straszewicz i mechanik F. Czarnecki zjawiają się na gruzach i przystępują do pracy.

Politechnika rozbudowuje się stale. Prace organizacyjne stoją już pod znakiem potrzeb naszego Planu Pięcioletniego. Przez najbliższe trzy lata prowadzić się będzie wzmacnianie ilościowe i specjalizacyjne kadr naukowych.

Jakkolwiek prace Politechniki są ściśle powiązane z życiem — to jednak nie należy ich mylić z pracami odpowiednich instytutów naukowych, nastawionych wyłącznie na działalność badawczą — a nie zajmujących się nauczaniem. Chcemy tylko pokazać Czytelnikom „Świata” to, co zobaczyliśmy w kilku pracowniach Politechniki Warszawskiej — to, co będzie jutrem naszej gospodarki narodowej. Zobaczymy, co trzyma w zanadru technika polska dla pięciolatki. Zobaczymy, jaką jest nowa technika, z którą zapoznaje się młodzież!

W MARSZU DO SOCJALIZMU — GOSPODARKA POLSKA WKŁADA SIĘMIOMIŁOWE BUTY

W ZAKŁADZIE Technologii Chemicznej Nieorganicznej prof. Weycherta widzieliśmy nieznany dotąd w Polsce aparat do otrzymywania gazowego fluoru. Demonstruje go nam inż. Zdzisław Sołtys, który wyjaśnia, że



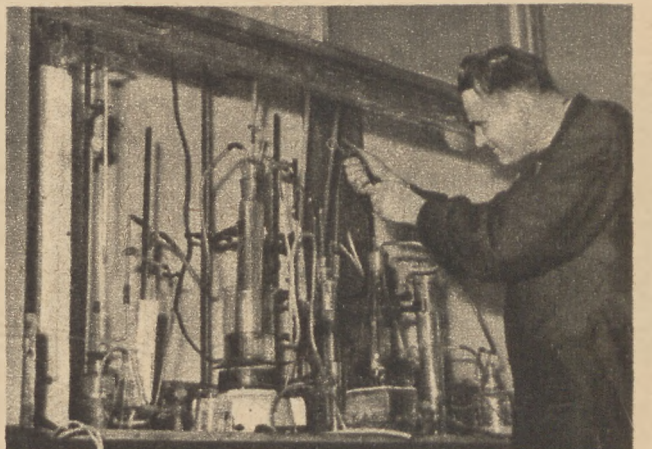
fluor jest gazem trującym o bardzo cennych, pokojowych zastosowaniach. Służy on mianowicie do wyrobu mas plastycznych, które wytrzymują do 400 stopni gorąca, są odporne na znane odczynniki chemiczne — a nawet na rozpuszczającą złoto i platynę wodę królewską! — wreszcie odporne są na działania czynników atmosferycznych. Gaz ten może służyć do produkcji niektórych barwników, wyjątkowo odpornych na działanie światła a także poprawi jakość naszego „Azotoxu”. Dalej —

gaz ten przyda się przy produkcji smarów, mogących pracować w łożyskach rozgrzanych do 500 stopni! Zu-

...rozwinie produkcję kauczuku i paliw syntetycznych, włókien sztucznych i podstawowych produktów chemicznych.

(Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego)

pełnie nietrujące związki fluoru z węglem służą jako czynnik chłodzący w lodówkach, a w centralnym ogrzewaniu — przenosić będą ciepło — tak jak dziś woda czy para.



WIEMY, że papier robi się głównie z drewna świerkowego. Ale drewno jest surowcem deficytowym; na las trzeba czekać latami — co robić, aby lasy szumiły dalej? Odpowiedział nam na to pytanie pracujący w tym samym Zakładzie inż. Józef Kępiński, którego widzieć przy aparaturze do otrzymywania nowych środków bielących. Produkty te pozwalają na wyrób papieru ze słomy — która dotąd służyła tylko jako surowiec do produkcji tektury. Dalej — będziemy bielić tkaniny bez osłabiania włókna. Nasza bielizna będzie trwalsza.

WYDZIAŁ Agromechaniczny Politechniki Warszawskiej, którego dziekanem jest laureat Nagrody Państwowej, członek PAN prof. Kanafojski, istnieje dopiero od roku. W nowoczesnej hali z maszynami, które są przysz-



Bukowski, który przyjął nas w swym gabinecie w gmachu przy Placu Jedności Robotniczej w Warszawie. Powiedział on „ŚWIATU”, że na Politechnice Warszawskiej obecnie

7.500 osób studiuje, a

1.350 osób odbywa praktyki dyplomowe, mając do wyboru 100 specjalizacji, kiedy przed wojną było ich

tylko 24;

1.200 osób — to personel nauczający, a

400 osób stanowi personel administracyjny i pomocniczy;

15 wydziałów istnieje na Politechnice Warszawskiej — 6 było dawniej;

2.200 dyplomów wydano w tym roku — a tylko 800 w roku 1938;

53% studentów jest pochodzenia robotniczo-chłopskiego;

500.000 metrów sześciennych liczą budynki Politechniki, ale

700.000 metrów sześciennych przybędzie w ciągu najbliższych lat;

10.500 studentów będzie miało wtedy bardzo wygodne warunki pracy;

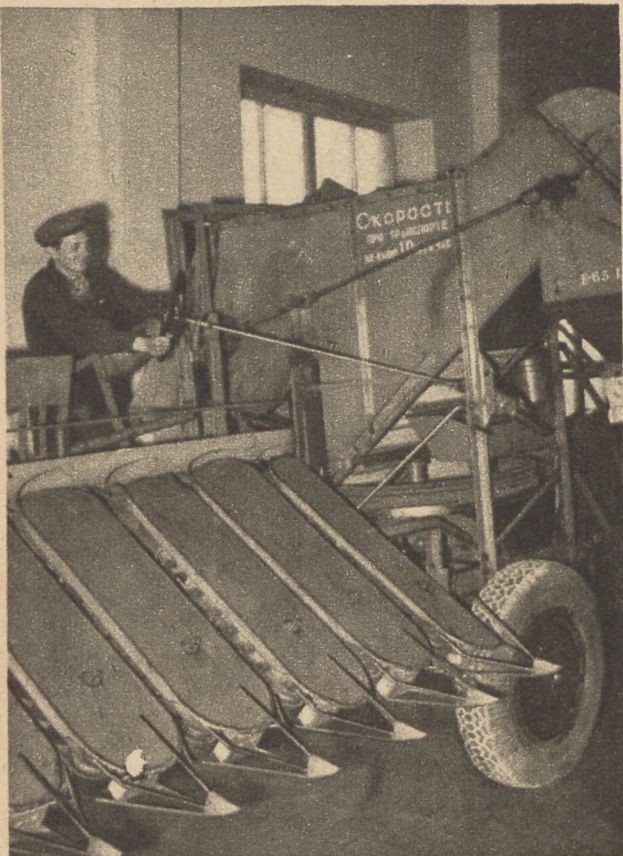
37% studentów Politechniki mieszka teraz w Domach Akademickich, a

70% korzysta ze stypendiów.

10.000 złotych wydaje w przybliżeniu państwo na

jednego studenta rocznie.

łością polskiego rolnictwa, wiszą na ścianie przechowywane z pietyzmem narzędzia, którymi nie tak dawno jeszcze uprawiano naszą ziemię. Na podłodze hali widzieliśmy — oprowadzani przez prof. Dmitrewskiego —

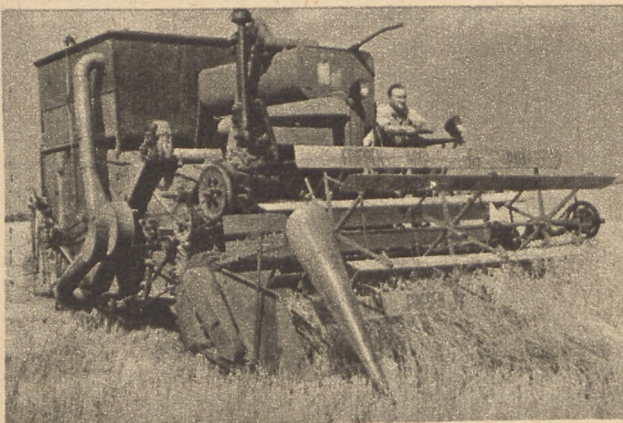


kombajn do zbierania lnu; studenci uczą się jak tego kolosa obsługiwać i konserwować. Wyprodukowany w ZSRR, kombajn ten oszczędza pracę ręczną 80 ludzi. Inną nowością, wprowadzaną dopiero u nas, jest pług



zawieszony na ciągniku rolniczym, który widzimy przy pracy w gospodarstwie doświadczalnym. Jak nas informuje dr inż. Tadeusz Nowacki, ciężar narzędzi rolniczych zawieszanych jest 2 do 2,5 raza mniejszy od przyczepianych do ciągnika. Przy budowie można na jednym komplecie ciągnika z narzędziami zawieszanymi zaoszczędzić ponad pół tony metalu. Nie jest potrzebny pomocnik traktorzysty do manewrowania narzędziami.

Ciekawa jest innowacja polska (pomysł inż. Rauszera i inż. Fafary) do radzieckiego kombajnu S-4, który jest żniwiarką, wialnią i młóckarnią w jednej osobie —



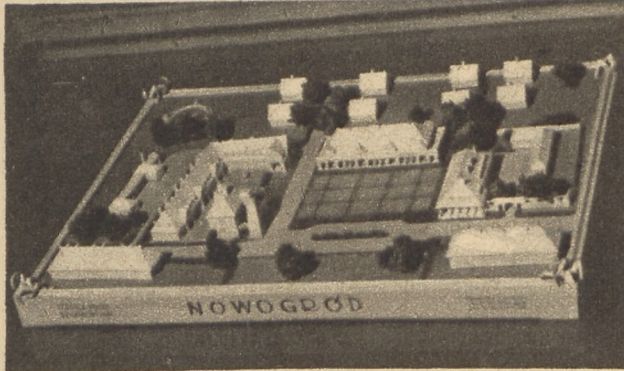
to znaczy chcieliśmy powiedzieć: w jednej maszynie. Naukowcy nasi dodali mianowicie nowe urządzenie,

Rozwiniemy szeroko przemysł nawozów sztucznych i nowoczesnych maszyn rolniczych wszelkiego typu, aby wesprzeć pracę chłopca najnowocześniejszą techniką, ulżyć pracy jego rąk, zwiększyć plony.

(Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego)

zwane „słomoplewnikiem“, które słomę wyrzuca na pole w regularnych, ułatwiających zbieranie kupach, plewy zaś magazynuje w specjalnym zbiorniku. Plewy nieżytnie są dobrą paszą; najważniejsze jest jednak to, że między plewami jest zawsze wiele nasion ośw — w ten sposób nie będą się one dalej na polu wysiewać.

PROF. FRANCISZEK PIAŚCIK (katedra budownictwa wiejskiego) powiedział nam, że w ciągu 10 lat pracy przedwojennej zaprojektował „aż” 7 gospodarstw wiejskich. Przed wojną, 5 architektów specjalizowało się w tej „niewdzięcznej” (wtedy) dziedzinie. Teraz — 350 fachowców architektonicznych pracuje w budownictwie wiejskim — a na absolwentów tej specjalizacji czekają już zainteresowane przedsiębiorstwa. Prof. Piaśnik pokazał nam projekt odbudowy zniszczonej



przez wojnę osady Nowogród, leżącej w ziemi łomżyńskiej — niedaleko wsi rodzinnej profesora. Według tego projektu miałby to być ośrodek dla spółdzielni produkcyjnej. Samą spółdzielnię widzicie zaplanowaną na innej makiecie. Projekty takie będą urzeczywistniane do-

Wzrosną ogromnie możliwości rozwoju materialnego i kulturalnego wsi polskiej.

(Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego)

piero w okresie realizacji Planu Pięcioletniego, ale już dziś trzeba przygotować młodzież do nowych koncepcji. Walczą one z nieposzanowaniem krajobrazu wsi polskiej, z ogalaniem jej z drzew. Powstają domy kultury, nowoczesne budynki szkolne i ośrodki handlowo-usługowe.

KIEDY za lat kilka samochód „poczuje się źle“, to zjedzie do specjalnej stacji obsługi, gdzie kabina diagnostyczna w ciągu półtorej godziny ustali, bez rozbierania wozu, jego dolegliwości i poda wskazania dla remontu. Prof. Wiktor Sudra pokazał nam jedyne tego



rodzaju urządzenie w Polsce, istniejące na Politechnice Warszawskiej, które będzie rozpowszechnione w naszym kraju. Samochód jest tam badany nieomylnie; tak jak człowiekowi bada się mocz — tak tu specjalne urządzenie analizuje spaliny „chorego samochodu“. Dawniej choremu rozcinano brzuch — aby zobaczyć co mu dolega. Teraz jeszcze często rozbiera się silnik — aby przekonać się, że czynność ta była niepotrzebna, gdyż „dolegliwość“ leży gdzieś indziej. W przyszłości nie będzie się tego — dzięki kabini diagnostycznej — stosować: na podstawie badania, mechanicy wypiszą dokładną „receptę“ dla warsztatu naprawczego. Ba — oni nawet powrócą, jak długo jeszcze samochód żyć będzie i jak się do niego odnosi jego kierowca. „Wróżba“ po-

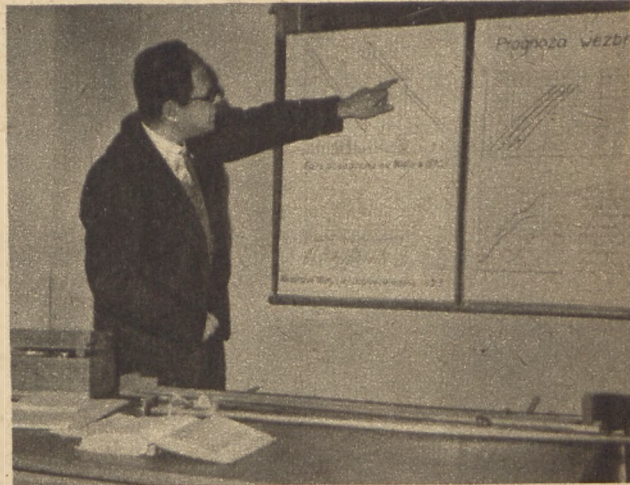
Mechanizacja robót ciężkich i pracochłonnych wpłynie na wydajność pracy i ulży poważnie trudowi człowieka.

(Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego)

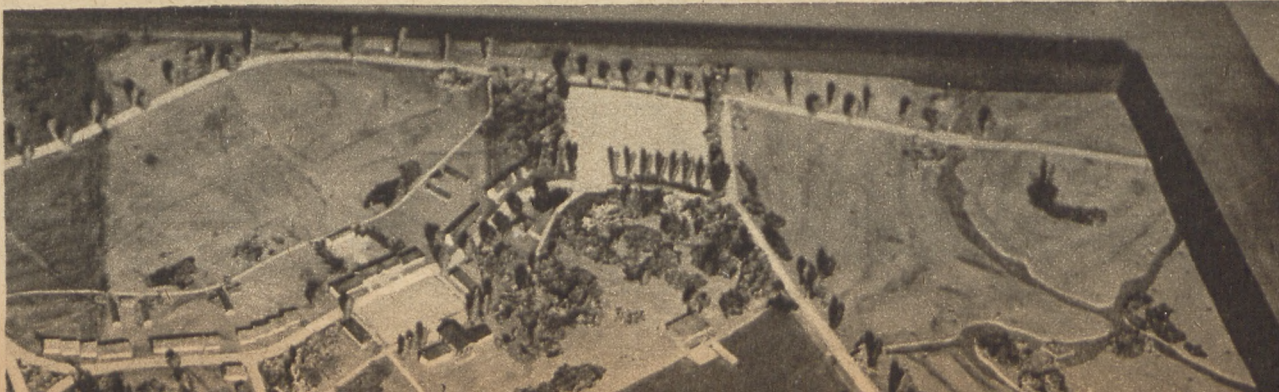
wie więc, czy szofer swój samochód „kochają, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje...“

Metoda ta przedłuży życie tysiącom wozów kursujących po polskich szosach i przyniesie wielkie oszczędności w robociznie i materiale takim władcom wielkich parków samochodowych, jak PKS czy miejskie przedsiębiorstwa komunikacyjne.

W ZAKŁADZIE Hydrauliki i Hydrologii rozmawialiśmy z wybitnym fachowcem — prof. Edwardem Czetwertyńskim. Uczony ten, członek-korespondent PAN,



Balszy ciąg na str. 10



należy do Komitetu Frontu Narodowego na Politechnice Warszawskiej. Z przejęciem mówił nam o projektowanym wielkim laboratorium wodnym Politechniki

Rozpoczniemy buaowę wielkich zapór wodnych i kanałów żeglowych, wielkich elektrowni na Wiśle i Bugu, które umożliwią zelektryfikowanie zacofanych połaci kraju. Wykorzystanie naszych zasobów wodnych do melioracji łąk i pastwisk oraz nawodnienia gruntów ornych pozwoli na znaczny wzrost urodzajów i rozwój hodowli.

(Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego)

Warszawskiej, gdzie problemy naszych budów, które — jak mówi Program Wyborczy — „zmienia zasadniczo warunki rozwoju całych obszarów naszego kraju” — studiowane będą przez uczonych na makietach rozmieszczonych na powierzchni 80 na 20 metrów.

Prof. Czetwertyński demonstruje nam swe skomplikowane tablice, pozwalające na zanalizowanie zawczasu groźby powodzi. Przypomina, że kiedy przed wojną specjalizację jego kończyło rocznie około 30 inżynierów, to już w najbliższych latach co rok przystępować będzie do pracy 90 fachowców z tej dziedziny. Uczony stwierdza nierozrwalną łączność wielu zagadnień, którą należy mieć przed oczyma przy rozważaniu budownictwa wodnego. Kiedy się więc mówi o regulacji Wisły, to trzeba pamiętać, że uzyskamy energię wodną dla elektrowni, wodę dla melioracji, że zażegnamy groźbę powodzi, że poprawimy żeglowność drogi wodnej i wreszcie uzyskamy większe ilości wody dla celów przemysłowych.

„Otóż kapitalista — mówi dalej prof. Czetwertyński — wolał zawsze poczynić mały nakład, który szybko się miał opłacić. My zaś — czynimy wielkie nakłady, które dadzą dopiero długofalowe zyski i wielkie, bezsporne korzyści. Perspektywy naszego budownictwa wodnego są tak wielkie, że przed wojną nawet marzyć o tym nie mogliśmy. Wielkie budowle wodne w ZSRR pokazały nam dopiero, jakie korzyści odnosi się z ujarzmiania rzek“.

PRZECHODZIMY do Zakładu Elektroakustyki, kierowanego przez prof. Ignacego Maleckiego. Inż. Jerzy

Wehr pokazuje nam tam zbudowany w kwietniu br. pierwszy w Polsce defektoskop, czyli aparat do szybkiego i bezbłędnego wykrywania wad w metalach. Aparat ten przy pomocy ultradźwięku — niesłyszalnego dla ucha ludzkiego — wykrywa wszelkie rysy, pęknięcia lub pęcherzyki gazu.

Widzieliśmy zapewne, jak na dworcu kolejowym opuskuje się młotkiem bandaż kół wagonów — dla wykrycia pęknięć. To jest metoda bardzo prymitywna i niedoskonała; nie można jej stosować np. do badania osi lokomotywy, gdyż trzeba by ją było wymontować. Nie można w ten sposób badać odlewów żelaznych w hutach ani też śmigieł lotniczych.

Aparat wysyła fale ultradźwiękowe: mamy milion drgań na sekundę. Fale odbijają się od pierwszej niejednorodności i wracają zamienione na sygnał elektryczny. Znamy szybkość rozchodzenia się fali w danym materiale. Na czymś w rodzaju ekranu (na który właśnie spogląda demonstrujący) ukazuje się dokładne położenie i rozmiary skazy. Aparat jest lekki i przenośny. Można badać sztaby metalowe do 10 metrów długości. Badanie trwa kilkadziesiąt sekund i jest nieomyślne.

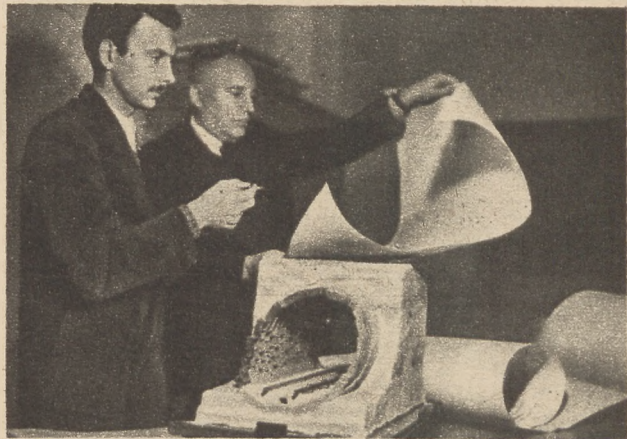
JESTEŚMY teraz w Zakładzie Komunikacji Miejskich. Z kieszeni prof. Tadeusza Mazurka wygląda miesięczny bilet tramwajowy. „Tak — teraz ja jeżdżę tramwajem” — mówi profesor. Ale pracuje się teraz nad budową metra warszawskiego; 19 katedr Politechniki Warszawskiej współpracuje z wykonawcami tej wielkiej budowy. Tu — cała technika jest nowa, gdyż nigdy przedtem nie podejmowano w Pol-

W okresie bieżącego dziesięciolecia zakończymy budowę dwóch pierwszych wielkich tras warszawskiego metra.

(Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego)

sce takiej budowy. Prof. Mazurek mówi nam, że pociąg metra będzie mógł kursować co 2 minuty i zabierać będzie do tysiąca jadących wygodnie pasażerów. Każdy przejeżdżający pociąg automa-

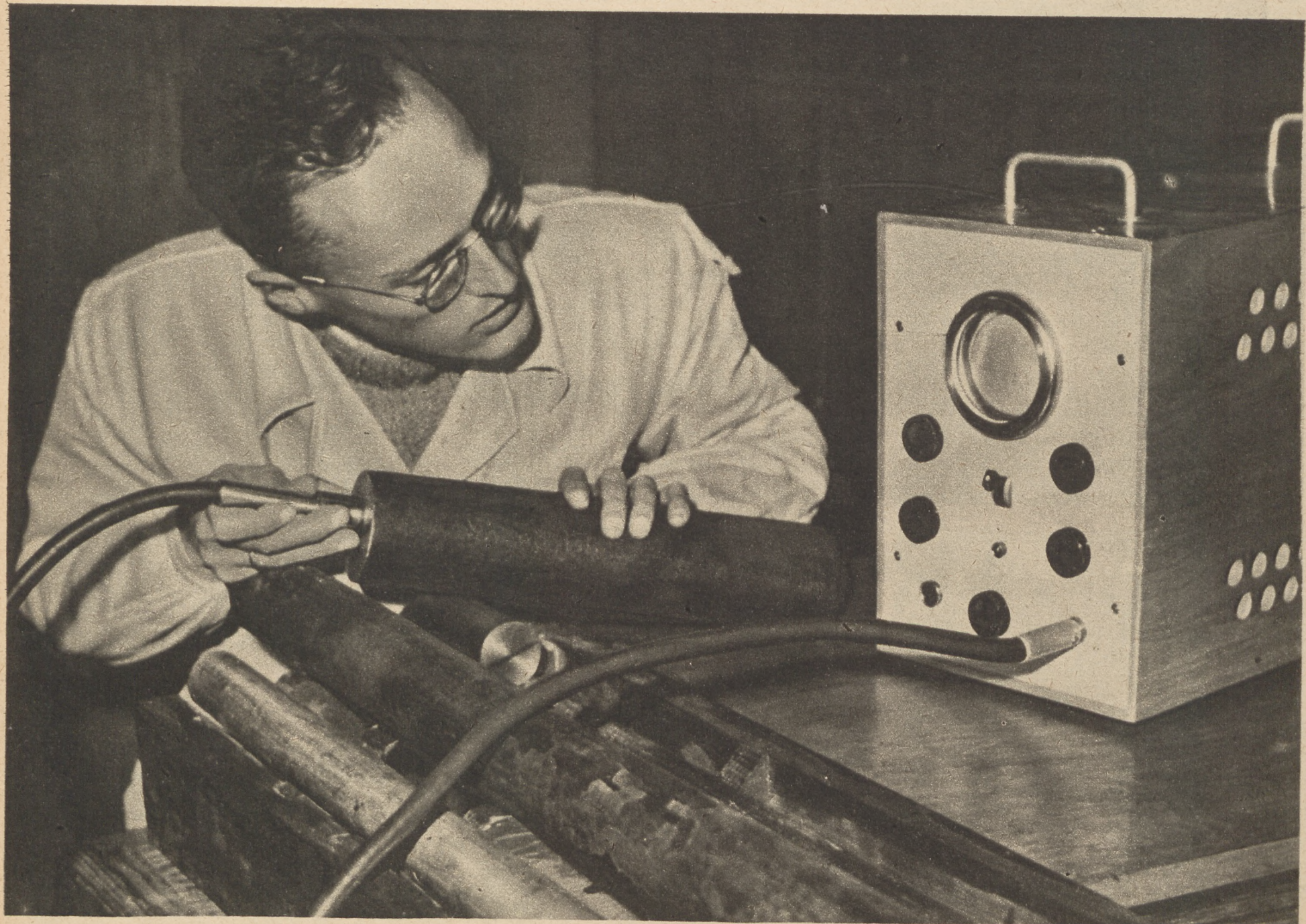
tycznie zapala za sobą czerwone sygnały — gdyby jednak przeoczył je maszynista następnego pociągu, to inne urządzenie również samoczynnie uruchamia hamulce. Użytkowa szybkość metra będzie wynosić ok. 35 km na godzinę, a maksymalna — ok. 70 km na godzinę. Podchodzimy bliżej do makiety tunelu metra,



którą prof. Mazurek objaśnia nam wraz z inż. Henrykiem Konciewiczem. Ten drugi jest autorem chyba pierwszej na uczelni polskiej pracy dyplomowej o budowie jednego z odcinków metra warszawskiego. Dowiadujemy się, że wielkim problemem będzie przy budowie metra ten jego odcinek, który będzie łączył „gdzieś pod korytem Wisły” obie części Warszawy, położone na brzegach tej rzeki. Specjalne badania geologiczne muszą ustalić miejsce i głębokość takiego podkopu. Przystanki metra będą się mieściły co pół kilometra. Jazda z Dworca Wileńskiego na Dworzec Śródmieście będzie trwać około 7 minut. Prof. Mazurek roztacza przed nami dalsze plany rozbudowy tej komunikacji miejskiej, która poprawi warunki transportu w całej Warszawie, gdyż zwolni wielką ilość tramwajów i autobusów z obsługiwanych przez siebie tras — do innych zadań.

Ten dział Politechniki Warszawskiej uczy swych studentów nowej techniki, dzięki której jechać będziemy do pracy i do teatru lub na boisko szybko i wygodnie. W tej dziedzinie nie mamy żadnych doświadczeń — tym bardziej więc cenne są doświadczenia ZSRR, poczynione przy budowie metra moskiewskiego. Dzięki nowoczesnej technice — obwieszane jak choinki i wlokące się jak żółwie tramwaje — nie będą już zmartwieniem warszawiaków.

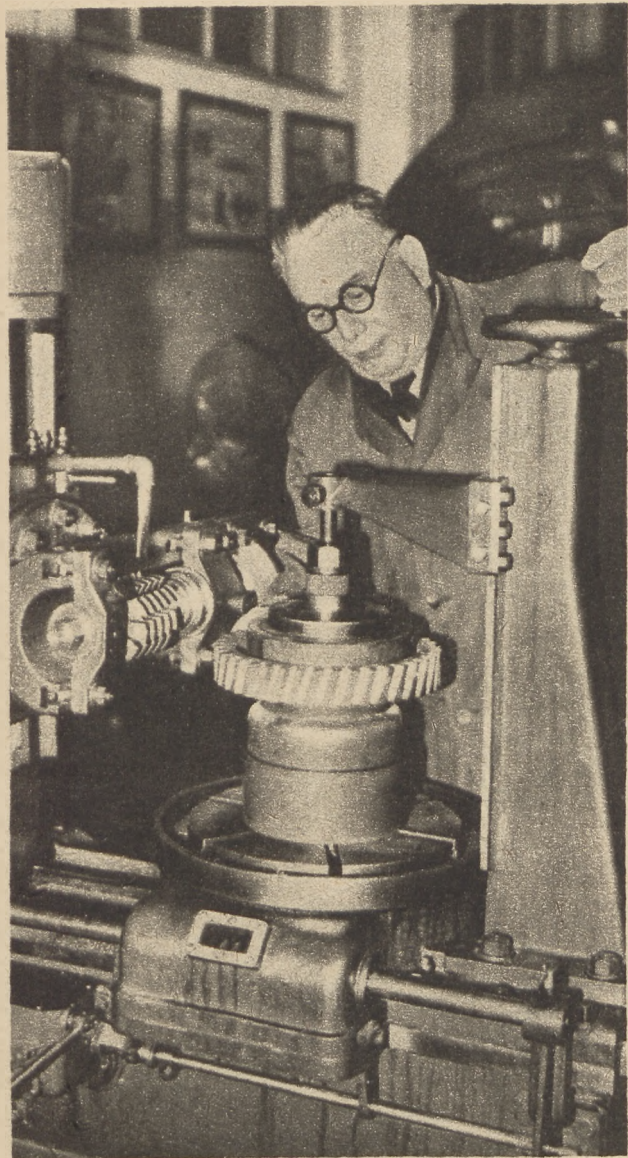
JEST takie małe i niepozorne, ale niezmiernie ważne urządzenie, którym się steruje wszystkie ciężkie maszyny, m. in. obrabiarki lub maszyny budowlane. Waż-



na jest w tych urządzeniach pewna część, której krzywizna wytoczona być musi z dokładnością do jednej setnej milimetra. Nigdy dotąd nie potrafiłmy jej w



Polsce zrobić. Dopiero prof. Ludwik Uzarowicz (na zdjęciu z prawej, trzyma tę część w ręku) w swym Zakładzie Obrabiarek i Obróbki Skrawaniem podołał temu zadaniu, które rozwiąże ważny problem zaopatrzenia przemysłu i uniezależni nas od importu.



W tym samym Zakładzie wybudowano już tuzin nowoczesnych, nigdy dotąd w Polsce nie wyrabianych maszyn do produkcji kół zębatach. Robotnik z łatwością obsłuży cztery takie maszyny. Jak więc widzicie, Politechnika Warszawska daje gospodarce narodowej nie tylko ludzi — ale i dodaje do nich... maszyny!

Prof. Uzarowicz powiedział nam, że coraz bardziej zanika dominujący przed wojną typ studenta, który wyznawał zasadę „jakoś to będzie”. Uczony uważa, że nowe pokolenie polskiej inteligencji technicznej, szkolące się m. in. na Politechnice Warszawskiej, cechuje poczucie obowiązku, punktualności i dokładności, oraz — nade wszystko: świadomość wielkiej epoki, świadomość tego, że cały kraj czeka na ich wiedzę techniczną.

Byliśmy z naszymi Czytelnikami tylko w kilku pracowniach Politechniki Warszawskiej, czyli tylko jednej z naszych uczelni technicznych. Tak jak w Warszawie — tak i w Krakowie, Gdańsku, Gliwicach czy Łodzi, studenci uczą się teraz nowoczesnej techniki — aby realizować nasze plany, aby realizować Program Wyborczy Frontu Narodowego, na który oddamy wszyscy nasze głosy w wyborach w dniu 26 października 1952 roku.

TADEUSZ KUBIAK

WIERŚE

Matka

Wszystko tu wokół ciebie lśni — słońce na ścianie,
i naczynia do jadła i napoju. W dom
oprawna jesteś, niby drogocenny kamień
w stare srebro. Tu można by odnaleźć schron
i wyspę szczęśliwości jedynej od lat.

Lecz ucieczką od świata dom twój nie był. Gdzież —
[bym
lepiej niż tu od ciebie nauczył się wielbić
to, co jest tuż za progiem twego domu — świat.

Patrząc w przyszłość

Z wielu pożegnań, z wielu rozstań
i z trosk, co od radości częstsze,
którym musiałem w życiu sprostać —
jest moje szczęście.

Najszlachetniejsze, najpiękniejsze
w człowieczej doli i niedoli,
z troski się rodzi ludzkie szczęście,
z tego co boli.

Ojciec

Z rozpaczą wielką spojrział w noc jak w dno
[czarnej wody.
Nie było spokojnego zmierzchania ni pogody
jesieni martwej, które towarzyszą starości.
Nie można było odejść niespodziewaniej, prościej.

Cnoto żeglarzy, którzy opuszczają pokłady
nie wcześniej nim ostatni ocaleją z zagłady —
odżyłaś w jego sercu. Spojrzeniem już spokojnym
przeliczał nas — najbliższych, uratowanych
[z wojny.

1945.

Norwid

W mieście wielkim i wrogim, jak wzburzony
[ocean,
jak znaleźć kształt miłości, gdy życie — chwiejne
[czótno.
Ta co zginąć nie może tylko dla mnie zginęła.
Szczęśliwe ptaki, które wiosną lecą na północ.

W manuskryptach zostawiłam co miałem
najlepszego.
Odejdę od was milcząc. Ostatnią nitkę z grzbietu
darujcie tym nędzarzom Kazimierza świętego.
Nadziei — tej nie oddam. Tę zostawcie poetom.

„ŚWIAT” przypomina!

Tamte wybory

Leży przed nami wydawnictwo z roku 1923, noszące tytuł: „Sejm i Senat 1922—1927”. Opracowali Tadeusz i Witold Rzepeccy.

W książce tej podsumowano wyniki wyborów do sejmiku i senatu z roku 1922. Okazuje się, że na 13.009.887 uprawnionych do głosowania wzięło udział w wyborach zaledwie 8.830.231 osób, czyli 67,87%. To znaczy, że nie głosowała trzecia część obywateli. Był to milczący, ale wyraźny protest przeciwko terrorowi wyborczemu i unieważnianiu list wyborczych robotniczo-chłopskich, list komunistycznych.

W województwie stanisławowskim — głosowało zaledwie 32,14% uprawnionych do głosowania. W samym zaś powiecie stanisławowskim głosowało jeszcze mniej, bo tylko 31,39% wyborców. Ale to nie było jeszcze dno owej ówczesnej „demokracji”, bo w powiecie śniatyńskim wzięło udział w wyborach zaledwie 18,17% wyborców.

W tamtych wyborach święciła również triumfy „demokratyczna” zasada równości. Na jednego posła komunistycznego trzeba było 60.785 głosów, na jednego posła endeckiego — 15.510 głosów.

Dojna krowa

Gdy rośnie nowa, piękna, socjalistyczna Warszawa, warto przypomnieć taki rysunek z „Wiadomości Literackich” (numer 6, z roku 1936):

Podpis pod tym rysunkiem brzmiał:
„Warszawa w oczach zagranicznych kapitalistów”.



Źródła zła

Komentarzem do tego rysunku był niejako artykuł Jerzego Hryniewieckiego, obecnego profesora Politechniki Warszawskiej, zamieszczony w tymże piśmie tegoż roku (numer 4), w którym znakomity architekt omawiał wyniki konkursu na zabudowę parceli położonej obok gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego w Alejach Jerozolimskich. Prof. Hryniewiecki pisał:

„Parcela musi być wyzyskana! Dobrze, że zostało tu użyte słowo „wyzysk”, wiemy czym to pachnie, trzeba zużyć każdy metr kwadratowy placu, trzeba plac zabudować „na gęsto”. Nie chodzi tu o ilość pomieszczeń, które można by było uzyskać na danym placu zabudowując się wzwyż. Chodzi o to, że przykro jest zostawić choć kawałek gruntu na zieleni czy też na powietrzu. Każdy metr kosztuje, każdy metr należy zabudować. To wyzyskiwanie każdego metra kwadratowego placu jest plagą naszego śródmieścia. Dopóki będzie się operowało pojęciami wyzyskiwania powierzchni, dopóty Warszawa będzie najbardziej zacieśnionym i zduszo-nym miastem Europy.

„Jesteśmy pozbawieni w śródmieściu wielkich skupisk zieleni, tego odrobin już nie można, ale po wszystkich ruderach i na wielu niezabudowanych placach będzie dość miejsca, aby człowiek zobaczył trochę zieleni i nieba, tylko trzeba się wyzbyć wreszcie pojęcia ceny każdego metra kwadratowego.

„Przestraszył się sąd konkursowy wyrwy w nieskazitelną linię Alej Jerozolimskich, niewiarogodne się wydało, aby można było zobaczyć trochę więcej nieba niż pozwalają dwie linie gzymsów kamienic.

„Warszawa — smutne, płaskie miasto, potrzebuje jak najwięcej efektów pionowych. Przecież nawet kościoły warszawskie są pozbawione wież. Tymbardziej niezrozumiała wydaje się decyzja sądu konkursowego”.

Ideał prezydenta USA

W roku 1936 ukazała się w przekładzie polskim książka Korneliusa Vanderbildta pt. „Zegnaj, Fifth Avenue”. W dziele swoim syn marnotrawny wielkiego domu bankierskiego ujawnił szereg ciekawych faktów i opinii finansowych królów Ameryki. Oto w okresie kryzysu jeden z czołowych multimilionerów oświadczył:

„Trzeba nam takiego prezydenta, który zrozumie, że nie należy obawiać się przelewu krwi... Trzeba przemawiać do tłumu w sposób zrozumiały — słowami”.

OTO PROGRAM FRONTU NARODOWEGO

Przed Sejmem, który wybierzemy, stanie obowiązek wytyczenia dalszych zadań, uchwalenia nowego Planu 5-letniego, którego wykonanie zabezpieczy naszemu narodowi wielkość, siłę i dobrobyt.

Plan ten zapewni dalszy wszechstronny rozwój gospodarki narodowej, przemysłu i rolnictwa, szybki wzrost dobrobytu mas pracujących i rozkwit kultury narodu.

Potężna rozbudowa przemysłu da w roku 1960 z górą 10-krotny wzrost produkcji w porównaniu z produkcją przedwojenną. Mechanizacja robót ciężkich i pracochłonnych wpłynie na wydajność pracy i ulży poważnie trudowi człowieka.

Rozbudujemy nasze bazy surowcowe: zwiększymy wydobycie węgla kamiennego i brunatnego, rud żelaza, metali nieżelaznych, ropy naftowej i soli potasowej, rozwinimy produkcję kauczuku i paliw syntetycznych, włókien sztucznych i podstawowych produktów chemicznych.

Rozbudujemy znacznie górnictwo i przemysł w całej Polsce, nie wyłączając zacofanych, nie posiadających przemysłu okręgów rolniczych.

Rozwinimy szeroko przemysł nawozów sztucznych i nowoczesnych maszyn rolniczych wszelkiego typu, aby wesprzeć pracę chłopca najnowocześniejszą techniką, ulżyć pracy jego rąk, zwiększyć plony.

Podjęte zostaną wielkie budowy, które zmienią zasadniczo warunki rozwoju całych obszarów naszego kraju. Rozpocznemy budowę wielkich zapór wodnych i kanałów żeglownych, wielkich elektrowni na Wiśle i Bugu, które umożliwią zelektryfikowanie zacofanych połaci kraju. Wykorzystanie naszych zasobów wodnych do melioracji łąk i pastwisk oraz nawodnienia gruntów ornych pozwoli na znaczny wzrost urodzajów i rozwój hodowli.

Wielkie budowle socjalizmu staną się podstawą techniczną szybkiego rozwoju i przebudowy rolnictwa.

Wzrosną ogromnie możliwości rozwoju materialnego i kulturalnego wsi polskiej.

Zwycięskie wykonywanie planów gospodarczych stwarzać będzie warunki dla systematycznego zwiększania zaopatrzenia ludności w artykuły żywnościowe i wyroby przemysłowe wszelkiego rodzaju, dla zamężnego życia ludzi pracy w mieście i na wsi.

Rozwijać będziemy na szeroką skalę budownictwo mieszkaniowe.

W okresie bieżącego dziesięciolecia zakończymy odbudowę Warszawy, budowę dwóch pierwszych wielkich tras warszawskiego metra, odbudujemy Wrocław, Gdańsk i Szczecin.

Zbudujemy miasta socjalistyczne: Nową Hutę i Nowe Tychy oraz szeregi wielkich osiedli robotniczych.

Zwrócimy szczególną uwagę na miasta i osiedla zaniedbane przez rządy kapitalistyczne, jak Łódź, ośrodki przemysłowe Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego i Wałbrzyskiego, zaopatrzymy je w wodę i urządzenia kanalizacyjne.

Zapewnimy każdemu dziecku w mieście i na wsi wykształcenie co najmniej w zakresie pełnej szkoły 7-klasowej.

Zapewnimy średnie wykształcenie wszystkim dzieciom w wielkich miastach i ośrodkach przemysłowych, jak również coraz liczniejszym rzeszom dzieci wiejskich.

Rozwinimy szeroko budownictwo teatrów, kin, muzeów, domów kultury, świetlic i innych ośrodków życia kulturalnego w mieście i na wsi.

Rozbudujemy na wielką skalę urządzenia zdrowotne, szpitale i sanatoria, kliniki i ambulatoria, ośrodki zdrowia i izby porodowe.

Wybudujemy nowe stadiony i boiska, zapewnimy milionom chłopów i dziewcząt sprzęt sportowy, polepszymy opiekę nad sportem i kulturą fizyczną.

Wykonanie wielkich planów narodowych bieżącego 10-lecia uczyni Polskę krajem potężnego, nowoczesnego przemysłu, krajem rozwijającego się, postępowego rolnictwa, krajem wysokiej kultury, jednym z przodujących krajów Europy.

— oto program Frontu Narodowego.

(Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego)







AKTOR SŁUŻY OJCZYŹNIE

ZAWÓD, który sobie obrałem, który szczerze ukochałem — ma dziś zapewnione prawo do pracy! Z jaką radością i zaufaniem spełniają artyści swój obowiązek w tej świadomości, że w wielkiej mierze przyczyniają się do podniesienia kultury we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa! To nasza duma — to nasz honor! Ta wielce zaszczytna praca nasza jest najmiłszym obowiązkiem i gorącym pragnieniem służenia naszej Ojczyźnie, Polsce Ludowej. Chcemy być potrzebni — użyteczni! Ze sztuka nasza otoczona jest szczególnie opieką Państwa, to nasza nagroda — to nasze szczęście!"

Taką wypowiedź ogłosił Wojciech Brydziński na łamach czasopisma „Teatr”, w czasie wiosennej dyskusji nad projektem naszej Konstytucji. I trzeba dobrze znać tego wielkiego aktora, nie tylko ze sceny, ale i w życiu „prywatnym”, by wiedzieć jak żarliwe, rzetelnie szczerze jest każde zdanie tej wypowiedzi, jak udokumentowane jest ono własnymi doświadczeniami artysty i jego dzisiejszą troską i działalnością.

Pracownicy Zakładów Mechanicznych „Ursus”, którzy pierwsi wysunęli kandydaturę Wojciecha Brydzińskiego na posła do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, poznali się z nim bezpośrednio, gdy wraz z zespołem Teatru Powszechnego odwiedzał ich ze sztuką Rachmanowa „Niespokojna starość”.



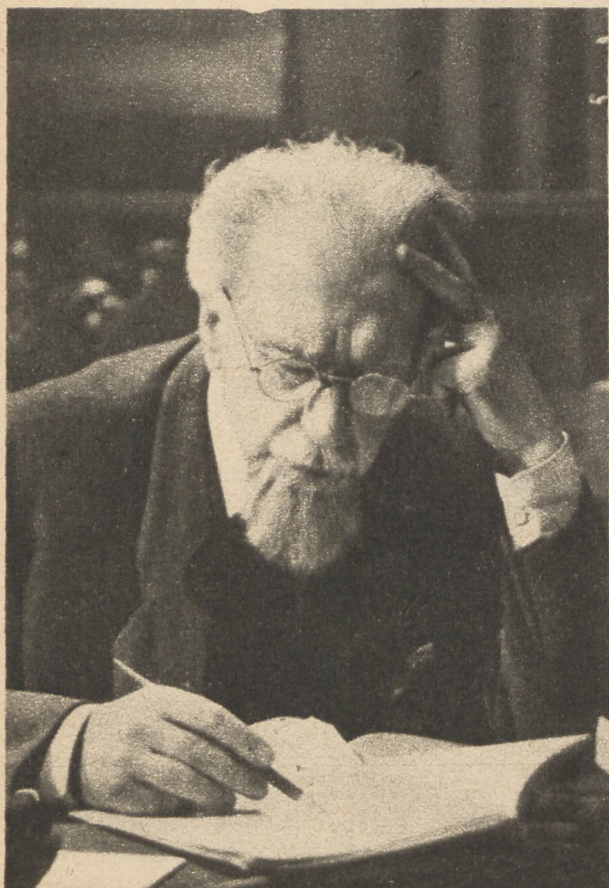
Na temat roli przyjemnie rozmawia się z koleżanką E. Barszczewską oraz z żoną.

Laureat Państwowej Nagrody Artystycznej pierwszego stopnia, jubilat, którego 75-lecie urodzin uczciło Państwo w roku bieżącym wysokim odznaczeniem, a Prezydent Bolesław Bierut darem osobistym w postaci złotego zegarka z de-

dykacją, ten zasłużony i czołowy artysta bierze od wielu tygodni udział w objazdach zespołu i co tydzień występuje w innej miejscowości, w innym zakładzie pracy. Jego wielka kreacja w roli profesora Poleżajewa, jego twórcza,

a więc młoda — starość, daje nowemu, robotniczemu widzowi nie tylko pewną sumę przeżyć kulturalnych. Nowy widz, chłonny widz, nie doszukuje się smaczków artystycznych; dla niego przedstawienie sceniczne jest najczęściej fragmentem konkretnej rzeczywistości; włącza się więc w nią, wraz z nią żyje, walczy, dojrzewa. Kreacja Brydzińskiego wzrusza, porywa, uszlachetnia; przekonuje i wychowuje.

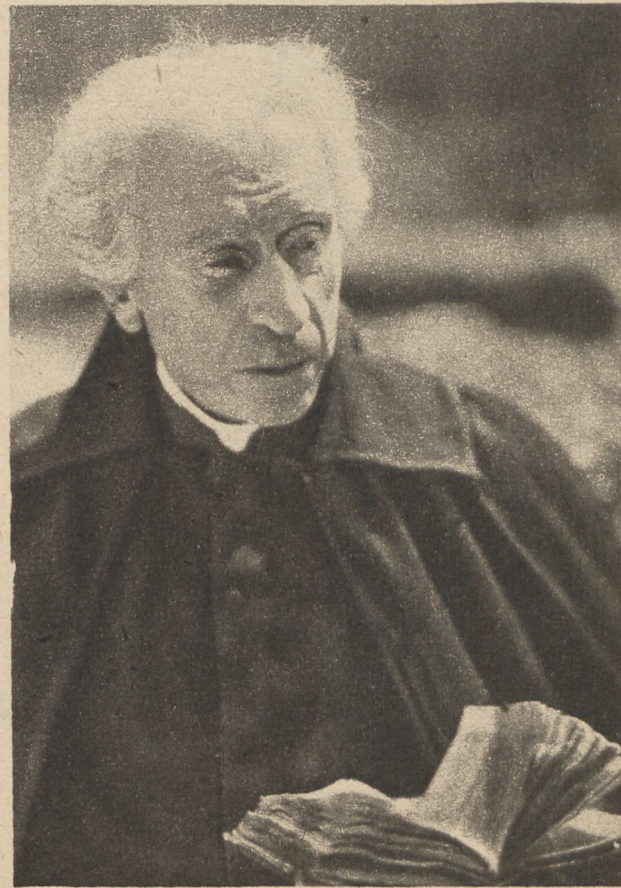
Tak było i z jego poprzednią wielką kreacją w roli profesora Czaplickiego (w sztuce Rojewskiego „Tysiąc walecznych”, granej w ub. roku przez Teatr Narodowy), również dobrze znaną i przeżyta przez nowego i młodego widza. „Stanął przede mną żywy, prawdziwy człowiek — profesor Czaplicki — opowiadał raz o pracy nad tą rolą Brydziński. — Od tego starego postępowego naukowca bije prawda i gorące umiłowanie młodego pokolenia. Zadaniem moim było, aby ta postać nie miała w sobie nic z aktora wygłaszającego tekst autora, ale by była prawdziwym, żywym człowiekiem o gorącym, młodzieńczym sercu, by referat Czaplickiego w czasie narady z robotnikami był prosty, przekonujący i szczerzy i przez to mógł łatwo trafić do mózgów i serc jego słuchaczy. W tym referacie należało wydobyć i podkreślić stosunek do wstecznej, przedwojennej technologii oraz jego oburzenie i pogardę dla tych karteli, które tamowały rozwój i postęp w budownictwie”.



Prof. Poleżajew w „Niespokojnej starości” Rachmanowa.



Poczta przynosi sporo listów od wdzięcznych widzów.



Książd Loga w „Fantazym” J. Słowackiego.

"Dla tego widza, co od-
czuwa prawdę i pasję
artysty tworzącego, było
jasnym, że w profesorze
Czaplickim — Brydziń-
ski wypowiedział i sie-
bie. Że artysta o głębo-
kiej pokorze, pogodzie
ducha i czystym sercu
stoi po stronie nowego,
że chce służyć sprawom
„podniesienia kultury
we wszystkich war-
stwach naszego społec-
zeństwa“, że idzie w
jednym szeregu z robot-
nikami i młodzieżą. Że
jest gorącym patriotą.

Trudno od Brydziń-
skiego wydobyć jakąś
wypowiedź o nim sa-
mym. Szczęście, że się
coś niecoś wie z daw-
nych kronik i recenzji
lub pamięta już z włas-
nych teatralnych doznań.
Brydziński zapala się
dopiero, gdy mówi o
wielkich swych poprzed-
nikach, kolegach-rówieś-
nikach, a zwłaszcza o
najmłodszych. Mówiąc o
nich — wydobywa to, co
dobre, cenne.

Zapytany o swoje po-
czątki sceniczne, z uś-
miechem żartuje: — Mo-
gę mówić, że grałem z
„Modrzejewską“.

W r. 1894 zaczął Bry-
dziński swój trud aktor-
ski w Stanisławowie, w
grupie Wł. Antoniew-
skiego. Wtedy to we
Lwowie grała Modrze-
jewska. Uproszona przez
stanisławowskiego an-
treprenera zjechała do
miasteczka wraz ze
swoim zespołem, by za-
grać „Mazepę“ Słowac-
kiego. Plastycznie Bry-
dziński charakteryzuje
styl gry Modrzejewskiej,
jej niepowtarzalną wiel-
kość. Pętającemu się od
kilku miesięcy po scenie
Brydzińskiemu kazano
powiedzieć jedno zdanie
dworzanina Paska: „Je-
gomość król wstaje od
stołu, już kazał sobie po-
dać z nalewką miedni-
cę“. Oczywiście sypnął
się, zdaje się tak: „kazał
sobie połać nalewką z
miednicy“. Młokos Bry-
dziński przeraził się
ogromnie usłyszawszy,
co usta wymówiły, drap-
nął ze sceny, ale za ku-
lisami czekał na niego
wrozumiały uśmiech
Amelii — czyli Modrze-
jewskiej.

Po kilkuletniej nędzy
w czasie wędrówek po
scenkach ówczesnej Ga-
licji („rzemienny dyszel“ i głód), próby
szukania lepszych warunków w Poznań-
skiem, potem w Łodzi, wreszcie od roku
1906 Warszawa, pierwsza scena „Roz-
maitości“. Tu już rolę wybitną. Po Ka-
zimierzu Kamińskim obejmuje rolę Ka-
zimierza w „Śniegu“ Przybyszewskiego.
Ta rola była omyłką niepospolitego Ka-
mińskiego. Krytyka wyżej ceni mło-
dzieńcze opracowanie Brydzińskiego.
„Było mi bardzo przykro z powodu tych
recenzji, że względu na mój kult dla
Kamińskiego“ — mówi cicho i prosto,
naprawdę szczerze Brydziński. I w tej
chwili myślę, czy wśród młodego poko-
lenia naszych aktorów jest choć podob-
ny kult lub szacunek dla zasług i pracy
starszych roczników, nosicieli najpięk-
niejszych tradycji? Czy młodzi mówią o
nich tak serdecznie i z taką troską, jak
właśnie Brydziński o najmłodszych, np.
katowickim Holoubku, czy warszawskim
Rene.

Od roku 1914 jest Brydziński w Tea-
trze Polskim Szyfmana; tu cenne role:



Wojciech Brydziński jako Stefan Czarniecki w sztuce K. Korcellego „Najazd“.

Gustaw-Konrad w „Dziadach“ (po raz
pierwszy carska cenzura puściła prawie
całą część III, tylko bez Senatora) oraz
ulubiona i głośna — Don Juan w sztuce
Rittnera. W czasie wojennej emigracji
do Rosji gra tam m. in. Kordiana; poz-
naję Stanisławskiego. Od r. 1918 znów u
Szyfmana; tu hr. Henryk w „Nieboskiej
Komedii“ Krasińskiego, Hamlet; i odtąd
już poza dwuletnim pobytem w Krako-
wie, stale w Warszawie. Ról wybitnych
przybywa. Mickiewicz i Lelewel w dra-
matach Wyspiańskiego. Franciszek Moor
w „Zbójcach“ Schillera.

Już w r. 1915 krytyka powie o nim:
„Piękny talent wciąż wzrasta, kwitnie
bujnie, zapowiadając coraz świetniejsze
sukcesy. Artyści nasi zbyt często zado-
walają się zdobytymi laurami, powta-
rzają swe środki wyrazu; p. Brydziński
ma czujność nieustanną“. Leon Schiller
w jednej ze swych dawnych wypowie-
dzi podkreśla zasadniczy rys aktorstwa
Brydzińskiego. Każdej z kreowanych
przez siebie postaci — a gra je z wielką

kulturą, subtelnie, z bogactwem odcieni
głębokiej uczuciowości — daje „podkład
charakterystyczny, tworzący podstawę
roli“. Przez to — uzupełnijmy — posta-
cie są żywe, ludzkie, indywidualizowa-
ne, nie przestając być typowymi w
swych poglądach czy działaniu. Oto naj-
ważniejsze wymagania realizmu scenicz-
nego.

W czasie okupacji Brydziński sprze-
daje papierosy w warszawskiej knajpie. To
jego źródło utrzymania. W r. 1945 w Ło-
dzi bierze udział w pierwszych przedsta-
wieniach „Wesela“ Wyspiańskiego. Gra
Stańczyka. Lubi tę rolę. Chciałby ją
jeszcze zagrać. Na otwarcie odbudowa-
nego Teatru Polskiego idzie „Lilla We-
neda“, gra Lecha; potem Stary Aktor
w „Hamlecie“. Za tę, na rozmiary tekstu
niewielką rolę, ale jedną z najświet-
niejszych kreacji, otrzymuje pierwszą
nagrodę na Festiwalu Szekspirowskim.
Przez pięć lat jest aktorem i recytato-
rem Polskiego Radia. Jego interpretacje
tekstów docierają do milionów. Tu,
przed mikrofonem, o sile kreacji i jej

oddziaływaniu decyduje głos i uczucie.
Brydziński włada tym wspaniale. Jest
skupiony; raz dochodzi do wyżyn tra-
gizmu, to znów budzi mimowolny uś-
miech ciepłym i humorem tonów. Jego
głos czysty, głęboki, tchnie szczerością
i ujmującą prostotą. Nie zapomną radio-
słuchacze wstrząsającej ludzkim współ-
czuciem opowieści o „Ojcu zadżumio-
nych“.

Teraz Brydziński w Teatrze Do-
mu Wojska Polskiego odtwarza postać Ste-
fana Czarnieckiego w nowym dramacie
Korcellego. Wielkością swego talentu
znowu wspiera nową twórczość rodzi-
mą. Dom Wojska Polskiego „pożyczył“
tylko Brydzińskiego, bo na stałe wydo-
była go z Radia dyrekcja Teatru Pow-
szechnego na Pradze. Dobrze, że wydo-
była, bo Brydziński już tęsknił do desek
scenicznych, ruchu, gestu i bezpośred-
niego kontaktu z widzem. Zwłaszcza
z tym nowym — robotnikiem, żołnie-
rzem, młodzieżą.

S. W. BALICKI

JABŁOWSKI

czyli uzupełnienie lekcji historii

Napisał: SŁAWOMIR MROŻEK

Ilustrował: JANUSZ GRABIAŃSKI



ZNALAZŁEM ostatnio okaz pochodzący z lat niedawnych, jednak zasługujący na miano prehistorycznego zabytku. Nie jest to gliniany garnek, w którym przodkowie przygotowywali sobie coś nieco do jedzenia. Nie jest to także szpila, która upiększała jakąś z naszych prababek.

sprawia tak dodatniego, pociągającego wrażenia, jak człowiek zdrowy fizycznie. Wysportowany młodzieniec lub panna o naturalnej, milej prezencji mają na pewno większe szanse przy staraniach o pracę, niż ludzie o ziemistej cerze i zapadłych klatkach piersiowych". (str. 25).

"Są ludzie energiczni i zdecydowani... Są ludzie flegmatyczni... Bywają jeszcze inni — popędliwi i gwałtowni..."

"Niebezpieczni są ludzie o kamiennych twarzach. Oczy ich są zawsze chłodne i niczego nie zdradzają, wyraz twarzy jest jednakowy, ruchy obliczowe. Tacy ludzie podnoszą się zniechceni i mówią: — Niestety, na razie nic nie mam dla pana. — W stosunku do tych ludzi można przeciągnąć rozmowę dłużej, ponowić atak i jeszcze raz przedstawić swoje kwalifikacje" (str. 105).

JAK FORMUŁOWAĆ OGŁOSZENIA?

"Błędny jest układ ogłoszenia: Kto da pracę buchalterowi, pozostającemu już od roku bez pracy i obciążonemu czworgiem dzieci? — gdyż pracodawcy nie mogą się dopatrzyć w tekście ogłoszenia pożytku dla siebie" (str. 62).

Natomiast dobre jest ogłoszenie następujące:

"PIENIĄDZE! Inkasent energiczny i taktowny, znający rynek, podejmuje się najtrudniejszych zleceń" (str. 59).

"Sprawa płacy jest bodaj najtrudniejsza do omówienia i największe kryje w sobie zasadzki. Można przystać bodaj na sto złotych miesięcznie, ale uczynić to w sposób poważny. Gdy stawka jest za niska, nie należy targować się, ale szukać sposobów zapewnienia sobie podwyżki w najbliższej przyszłości" — (str. 101).

A więc nie sprawa płacy, lecz pracy jest najważniejsza. Jeden z następnych rozdziałów uczy, jak telefonować:

"Kandydat — Czy mógłbym mówić z panem dyrektorem?

Pracodawca — Jestem, słucham.

Kandydat — Mówi Jankowski, dzień dobry panu. Pan dyrektor upoważnił mnie...

Pracodawca — Ach, to w sprawie tej pracy!

Kandydat — Tak jest. Moje uszanowanie panu. Byłem u pana przedwczoraj i miałem właśnie dziś zapytać..."

MYŚL PRZEWODNIA

Książeczkę pt. „Jak zdobywać pracę” napisał niejaki Kazimierz Jabłowski,

będący sam — jak wynika z tekstu — pracodawcą, i zadedykował ją, wzorem wielkich poetów — żonie. Dziełko wydane zostało przez „Książnicę Atlas” — rok wydania nie podany. Jednak nawet bez tych wskazówek, bez nazwy przedwojennego wydawnictwa, każdy odgadnie z łatwością, że książka dotyczy lat międzywojennych. Jakże by się dzisiaj zdziwił młody absolwent jakiegokolwiek szkoły, gdyby natknął się na tę książkę. Co znaczy na przykład zdanie: „Na rynku pracy wytworzyło się ogromne bezrobocie. Coroczny dopływ kilkudziesięciu tysięcy absolwentów szkół — sił młodych i pełnych zapału do pracy, pogarsza jeszcze tę sytuację”? I w ogóle, co znaczy zdobywać pracę? Przecież praca to prawo, obowiązek i sprawa honoru.

Sprawa honoru! A wtedy: „Poszukiwanie i zdobywanie pracy jest w gruncie rzeczy zabiegiem handlowym”. Ach, panie Jabłowski! Dlaczego więc robotnicy o głodzie uruchomili zniszczone fabryki w roku 1945?

Zaledwie trzynaście lat dzieli nas od tej Polski, w której pan Jabłowski napisał swoje dziełko. Już sam pomysł takiej książki byłby dzisiaj nonsensem, a wtedy był pomysłem nie budzącym niczyjzego zdziwienia i intratnym dla wielkiej firmy wydawniczej. Trzynaście czy trzysta lat? — pytamy, zdumieni tą lekturą.

Co może być bardziej obcego naszemu współczesnemu pojmowaniu, myśleniu, odczuwaniu, niż takie na przykład sentencje:

„Trzeba dotrzeć do kierowników i pozyskać ich”.

„Musimy sobie wyrabiać znajomości. Stosunki są potrzebne każdemu, kto chce coś zdobyć”.

„Czy dwa miliony chłopów, którzy znaleźli już zatrudnienie w naszym wzrastającym, socjalistycznym przemyśle, miało jakieś „stosunki” i „protekcje”?

Pomyślcie — od tych czasów dzieli nas tylko trzynaście lat. A zdawałoby się, że wiek cały. I chciałoby się proponować, by książkę tę oglądały w muzeum wycieczki szkolne, jako uzupełnienie lekcji historii.



Jest to 127-stronicowa książka-broszura.

Zawsze miałem szacunek dla prehistoryków, którzy z tysiąca skorup składają całe wazy, z tysiąca waz — całe obrazy dawnych czasów. Spróbujmy dziś postąpić z moim okazem podobnie — z poszczególnych zdań i rozdziałów złożyć jeszcze jeden przyczynek do epoki.

Zaczynamy.

DLA KOGO?

Książeczka ta zwraca się do ściśle określonego czytelnika, który charakteryzuje się tym, że „jak większość ludzi wciąż szuka jakiegokolwiek pracy” — (str. 13). „W pierwszych dniach zabiegów o pracę jest pełen zapału. Potem, gdy te i inne starania nie odniosą skutku, pewność siebie znika, energia słabnie, zapal gaśnie. Rodzi się depresja — początek wszelkiego niepowodzenia” — (str. 24).

Zatem książeczka przeznaczona była dla szukającego pracy i nie znajdującego jej nigdzie. Książeczka ta miała być zbiorkiem niezawodnych rad, jak szukać pracy, aby ją ponownie znaleźć.

„Na rynku pracy wytworzyło się ogromne bezrobocie. Coroczny dopływ kilkudziesięciu tysięcy absolwentów szkół — sił młodych i pełnych zapału do pracy, pogarsza jeszcze tę sytuację” — (str. 7).

„Człowiek, z którego wyrazu twarzy i oczu widać pewność siebie, nie lęka się o swój los — łatwiej dotrze do niedostępnego gabinetu przyjąć. Pracodawca chętnie słucha człowieka-optymistę” — (str. 24).

„Człowiek chorowity jest mniej odporny na przeszkody życiowe, niż człowiek zdrowy. — A poza tym nigdy nie

Aby mieć zdrowy wygląd trzeba jeść, aby mieć pieniądze na jedzenie — trzeba pracować, aby zdobyć pracę — trzeba mieć zdrowy wygląd. Więc jak? Chyba, że przyjmiemy znakomitą teorię ekonomiczną, którą znaleźliśmy na stronie 45: „Nie mówmy, że pieniędzy nie ma. Przecież niedawno jeszcze były”.

Rozdział, poświęcony rozmyśleniom nad charakterem i wolą poszukującego pracy, kończy się słowami:

„Wymagane są jeszcze świadectwa moralności, wystawiane przez władze policyjne” (str. 40).

O SZAFACH I DOBRYM WRAŻENIU

Po rozważaniach ogólnych przychodzi kolej na wskazania bardziej precyzyjne. Zagladnijmy do załączonego wzoru podania o pracę, w którym znajdziemy właśnie idealne stanowiska (a nawet brzmienia nazwiska) osób powołanych do dawania „referencji”.

„Referencje — Inż. Jan Lassota, dyrektor fabryki „Taśma” w Warszawie, dr Michał Opalewski, prokurent Banku Handlowego w Warszawie, inż. Karol Chłębowski, dyrektor fabryki „Opłona”, Lublin.

A ten rozdziałek, który można by zatytułować „Szefowie o kamiennych twarzach”:

„Stojąc wobec nieznanego nam człowieka pamiętajmy, że pozory często mylą: gdy szukamy pracy, musimy wyzbierać się własnych uprzedzeń, opanować swe nerwy i dostosować sposób mówienia oraz zachowanie do psychiki i zachowania zwierzchnika” (str. 105).

„Jak zachować się w momencie najważniejszym”, tj. przed obliczem szefa? Bezrobotny znajdzie w broszurze subtelą analizę psychologiczną, mającą mu ułatwić przeniknięcie duszy szefa i zdobycie pracy:



UCZUCIE

i

ŚWIADOMOŚĆ

NIERAZ gdyśmy szli drogą lub polną ścieżką, babka nagle przystawała.

— Trzeba sprzątnąć ten kamień. Mógłby się ktoś potknąć i nieszczęście gotowe.

Końcem kostura spychała kamień na bok, albo zginała się i, ciężko sapiąc, grzastłymi palcami odrzucała precz zawałtą drogę.

Niecierpliwy, jak to zwykle dziecko, szarpałam ją za spódnicę; wówczas dobroliwie hamowała mnie:

— Czekaj, to trzeba zrobić! — A uporał się z przeszkodą tłumaczyła: — Widziałeś przecie garbatego Łuczaka! A widzisz, byłby prosty jak świeca, gdyby — ileż to? — gdyby czterdzieści lat temu jakaś pocziwa dusza odrzuciła kamień z drogi nad strumieniem. Trzy lata mając szedł do matki na pole, przewrócił się na kamieniu, nawet niedużym, o takim jak moja pięść — i dziecko zostało kaleką. A co jego matka się nacierpiała, nieboraczka, tego nikt dziś nie wypowie.

Mówiła bardzo wolno i używała niewiele słów. Opowiadane wydarzenia, obejmujące okresy długich lat, przesuwały się przed moimi oczyma w obrazach, podzielone na epizody, jakby odmierzane rytmiką jej mozolnego, kulejącego kroku. Stąpnięcie — Łuczak upada, stąpnięcie — Łuczak choruje, stąpnięcie — Łuczak ni do posługi ni do roboty, stąpnięcie — Łuczak staje pod kościołem. A w tyle, poza tymi stacjami strasznej doli dziecka, chłopaka, dorosłego nędzarza, przesuwająca się jak cień jego matka: wdowa-wyrobnica, zgorzkniała żywicielka kaleki, przegnana z dworskich czworaków niedołężna starucha, i umierająca w kartoflisku bezdomna...

Zanotowałem to przeżycie sprzed wielu lat — dotyczące wypadku sprzed jeszcze większej ilości lat — i zamyśliłem się. Dlaczego zapukało do serca? Czemu przypisać, że tak nieustępliwie domagało się świadectwa moich słów? Jakie znaczenie pragnie mieć dzisiaj?

Kamień usuwany z drogi... Czyżby wyobraźnia moja szukała łatwego symbolu, poetyckiej ozdoby? Nie, bo oto w świadomości mojej jawi się nie zwodniczy zarys losu, lecz istotna treść bytu.

We wsi nie jedne były drogi — były drogi „pańskie” i były drogi „ludzkie”. Jedne gładkie i równe, obrezane rowami i osłonięte cieniem drzew, drugie — przepaiste koleiny, poprzez doły i wykroty, męczarnia dla zwierząt i ludzi. Nie na „pańskiej” drodze upadł mały Łuczak.

Wypadek — powiecie. W pewnej mierze tak. Ale zastanówmy się głębiej. Wypadek nie jest czymś samodzielnym, stwarzają go warunki. Czyż taki wypadek mógł się przydarzyć pańskiemu dziecku? Nie, bo jechało powozem pod czujną opieką bony. A Łuczak — mała kruszyna, nawpół nagi i bosi biegł do matki gnany całodziennym głodem i pragnieniem. Całodziennym — bo na dworskim pracowało się wówczas od świtu do nocy, za kilka nędżnych centów. A cóż się stało po upadku dziecka i w czasie jego choroby? Być może znachorka wylała nad nim wyżebrane od kogoś jajko — to wszystko. A później? Bezradna litość takich samych, jak jego matka, nędzarzy zrobiła mu miejsce pod kościołem i wrzucała w jego torbę garść fasoli lub grochu, bo chleba nigdy nie było do syta. A jej samej pańskie kartoflisko umościło śniadelną barłóg. Krzywda.

I oto teraz, gdy znów staje przede mną obraz babki usuwającej kamień z drogi, teraz rozumiem: biedaczka spełniała pocziwą, ale daremną posługę. Bo aby zapobiec krzywdzie należało sięgnąć dalej niż mogła to uczynić indywidualna przezorność — należało usunąć istotną przyczynę zła.

L. RUTH-BUCZKOWSKI

HISTORIA PRAWDZIWA O KAMIENIACH WĘGIELNYCH

KIEDY w skwarny letni dzień zatrzymany przechodzień pokazuje ręką w kierunku górskiego zbocza, robiąc palcami małe kółko, znaczy to, że tam jest źródło, że tam można napić się wody. Woda w zacofanych okęgach południowych Włoch jest luksusem. Pożyczają ją sobie kobiety na szklanki, tak jak gdzie indziej mleko czy śmietanę.

Wodę nosi się z dalekich źródeł, położonych często o kilka kilometrów od osiedli, lub ze studzien okresowo czynnych, kiedy po długiej porze deszczowej wypełniają się one zbawczym, życiodajnym płynem. Mężczyźni chodzą po nią z dużymi baryłkami na plecach, dziewczęta z blaszkami po konserwach wyrzuconych przez amerykańskich żołnierzy, lub z antarkami od wina.

Przeprowadzenie wodociągów, zbudowanie systemów nawadniających czy regulacja co rok wylewających rzek nie jest tu w zasadzie rzeczą trudną do przeprowadzenia. Istnieje bowiem dość dobre warunki terenowe, duży zasób wolnych rąk roboczych i mogłyby się znaleźć pieniądze. Mogłyby, gdyby chadecki rząd nie obracał wszystkiego na narzucone przez Amerykę przygotowania wojenne.

Kraj więc nęka posucha. Dzieci w wielu miejscowościach znają kąpiel tylko z opowiadań chorych, powracających ze szpitali, lub z opisów nauczycieli w czasie zajęć szkolnych.

Do szkoły chodzi zresztą bardzo niewiele dzieci. Bo i po co? Nauczycielki przysłane zaraz po ukończeniu liceów pedagogicznych, na bezpłatną roczną lub półroczną praktykę, pozabawione jakichkolwiek środków do życia mają tnie kłopoty, niż zajmowanie się gromadą powierzonych sobie uczniów.

Rodzice i dzieci ze swej strony nie widzą żadnego pożytku z tracenia czasu na naukę. Ze szkołą bowiem, czy bez niej, wiedza, że zostaną tym, czym są ich ojcowie: rolnymi robotnikami, dniówkowymi, drobnymi dzierżawcami czy gospodarzami na małych, jedno lub półhektarowych gospodarstwach. Totż liczba analfabetów w okregu Lukani wynosi przeszło 50%, a w Pulii, Kalabrii i na wyspach około 30%.

Szpital publiczny dla biedaków nie był nigdy cząstką komfortu. Dla wiecznie głodującej ludności południowych Włoch stał się on jednak tematem niewyczerpanym zdumiewających nowin o świecie.

— W szpitalu dają jeść — mówi Demetrio Scavarocca. Po tych słowach zapada milczenie. Wszyscy wiedzą, że to prawda, że tak jest. I poczynają marzyć, by przynajmniej raz w życiu dostać się do szpitala. Za darmo

oczywiście, przy okazji nieszczęśliwego a niezawinionego wypadku. „Każdy ma swoje łóżko, a w ziemię poprzez srebrne rury płynnie rozgrzewający, cudowny ogień”. Ta sprawa z ogniem wydaje się słuchaczom trochę wątpliwa, bo jedni z wracających mówią, że w istocie jest coś takiego, inni natomiast zaprzeczają temu jak najgorliwiej. Sprawdzić jest bardzo trudno, trzeba bowiem czekać lata na okazję, na to, że komuś uda się dostać do szpitala.

Ludność choruje, lecz się i umiera w domu. Ksiądz i doktor są tu pojęciem niemal jednoznaczny. Obaj przychodzą bowiem w chwili, kiedy niewiele pozostało już do zrobienia. Na leczenie lekarz nie może sobie pozwolić nawet ci, którzy mają mieszkania i jakieś stałe zajęcia, a cóż dopiero robotnicy dniówkowi, którzy co dzień o czwartej rano spieszą na plac, czekając tam kogoś, kto weźmie ich do roboty na dzień lub dwa. Młodzi, silni i zdrowi mają pewne szanse, starsi natomiast czy słabi wracają najczęściej do domu z niczym. Ludzie znają się w okolicy. Wiedzą, kto ma silne mięśnie i kogo „opłaca się” wynająć.

Na początku 1948 roku ożywczy prąd nadziei przepłynął przez Pulię, Sycylię, Sardenię i Kalabrię. Rząd zapowiedział wielkie roboty publiczne, regulację rzek, budowę szkół, szpitali, domów mieszkalnych i nawadnianie gruntów. Nie tylko zresztą zapowiedział (obietnicom znany naród włoski już od dawna nie wierzy); tym razem we wsiach i miasteczkach pojawili się przedstawiciele władzy, zatwierdzając wielkie plany i zakładając kamienie węgielne pod przyszłe budowle. Nareszcie! Nareszcie będzie praca i życie bardziej ludzkie, lepsze, łatwiejsze. Był to okres przedwyborczy. Na wiecach i zebraniach przedstawiciele chadeckich zwracali się do ludności z prośbą o poparcie ich wielkich planów, zmierzających do odbudowania zacofanych okregów kraju. Kamienie węgielne miały być symbolem, świadectwem, rekójnią, że plany nie zostaną tylko na papierze.

Kiedy po wyborach w kwietniu 1948 roku chrześcijańska demokracja przejęła całkowicie władzę w swoje ręce, kamienie węgielne poczęły, zwyczajem wszystkich kamieni, porastać mchem. Stan ten trwał przez kilka lat. Aż do czasu, kiedy przybliżył się czas wyborów do rad administracyjnych na wiosnę tego roku. Wówczas znów odżyła historia kamieni węgielnych. Tym razem, by dodać większej wagi zobowiązaniom rządowym, kamienie te zakładali osobiście: minister Segni, wielki właściciel ziemski z Sassari i minister Zoli, kon-



W zacofanych okęgach Włoch południowych woda jest luksusem. Nosi się ją w kubkach i baryłkach ze źródeł położonych często o kilka kilometrów od osiedli.

JADWIGA PASENKIEWICZ



Hasłem wyborczym chrześcijańskiej demokracji jest „Libertas” — wolność. W praktyce rządy chadecji oznaczają wolność wyzyskiwania pracujących.

Charakterystyczny obrazek z włoskiego miasta: na tle manifestów wyborczych, zawierających szumne obietnice — śpią bezdomni. Znekany naród włoski nie wierzy już żadnym obietnicom tych, którzy sprzedają ojczyznę Amerykanom.





HOWARD FAST

Bunt GLADIATORÓW

(3)

Tłumaczyła: M. MICHAŁOWSKA

Ilustrował: St. SAMBORSKI

Świat cały zadrżał w posadach. Spartakusa niosła olbrzymia fala, a gdy stał teraz zadyszany na zakurzonej drodze, otoczony zapachem walki, potu i krwi, widział śmiejącego się rudowłosego Kriksusa, i Żyda Dawida z zakrwawionym nożem w rękę, i grupę wielkich, czarnych Afrykanów nuczających swoje własne pieśni. Objął Warynię ramieniem. Inni gladiatorzy radośnie obejmowali swoje kobiety, unosili je wysoko i śmieli się i pokrzykiwali, a z zabudowań szkolnych wybiegali niewolnicy i przynosili skórzane butle Bataniusowego wina. Nawet ranni nie przejmowali się swoimi ranami i tłumili w sobie jęk. A Warynia, śmiejąc się i płacząc, patrzyła na Spartakusa i głaskała go po twarzy, po ramionach i po rękach, w których trzymał nóż. Właśnie zaczęli pić wino, gdy Spartakus przywołał ich do rozsądku. Wiedział, że początek mógł łatwo stać się końcem, gdyż z Kapui wymaszerowały już zastępy żołnierzy. Spartakus nakazał Gannikusowi zdjąć zbroje z martwych żołnierzy, zabrać całą ich broń, i posłał Afrykanina imieniem Bordo do zbrojowni, by spróbował się do niej włamać. Był teraz stanowczy, cała łagodność spływała z niego, owaładnęła nim jedna myśl: nie zaprzepaścić tego zwycięstwa. Wiedział, że żył tylko dla tej chwili, że czekał był od stuleci na ten moment. Cekał od owego dnia, kiedy to pierwszy niewolnik zaprzęgnięty został do pług, i nic nie zwiedzie go teraz z obranej drogi.

Przed chwilą jeszcze prosił, teraz rozkazywał. Kto potrafi obchodzić się z rzymską bronią? Kto umie się posługiwać włócznią? Kazał im się ustawić w cztery zastępy.

— Kobiety do środka — rozkazał. — Nie chcę, by się narażały. Nie chcę, by brały udział w walce.

Był zaskoczony furią kobiet. Były straszniejsze od mężczyzn. Chciały walczyć, płakały, błagały. Prosiły, by im pozwolił dać noże. Gdy odmówił, zakasały spódnice i napęłniły je kamieniami.

W pobliżu szkoły, na zboczach okolicznych wzgórz, rozciągały się plantacje. Zatrudnieni na polach niewolnicy zbiegli się, by zobaczyć, co się dzieje. Stanęli na kamiennych murkach przy drodze, grupkami i w pojedynkę. Dostrzegłszy ich, Spartakus nagle pojął, jak proste jest jego zadanie. Przywołał do siebie Żyda Dawida i powiedział mu co robić. A Dawid pobiegł ku niewolnikom. Spartakus nie omylił się. Trzy czwarte niewolników z plantacji poszło za Dawidem. Pozdrawiali gladiatorów i całowali ich po rękach. Przynieśli ze sobą motyki i nagle motyki przemieniły się w broń. Teraz powrócili Afrykanie. Nie zdołali włamać się do arsenału. Zabrałoby im to co najmniej pół godziny. Lecz udało im się otworzyć skrzynie, w których znajdowało się kilka tuzinów wielkich, groźnych trójzębów. Spartakus rozdał je Afrykanom, a oni całowali każdy trójzab uroczyście, głaskali go i mruzcili jakieś przedziwne zaklęcia w swoim własnym przedziwnym języku.

Wszystko to odbywało się w błyskawicznym tempie, lecz Spartakus czuł, że konieczny jest jeszcze większy pośpiech. Chciał być jak najdalej od tego miejsca, jak najdalej od szkoły, jak najdalej od Kapui. — Za mną! — zawołał. Warynia była u jego boku. Zeszli z drogi, ruszyli na przełaj przez pola i zaczęli się wspinać po zboczach pagórków. — Przysięgnij, że mnie nigdy nie zostawisz w tyle — powiedziała Warynia. — Potrafię walczyć równie dobrze jak mężczyzna.

Teraz spostrzegli żołnierzy maszerujących drogą od strony Kapui. Było ich dwustu. Maszerowali dwójkami, do momentu, gdy oficerowie spostrzegli, że gladiatorzy biegną w kierunku wzgórz. Wtedy oficerowie zmienili szyk i oddział ruszył przez pole, by odciąć drogę gladiatorom. Za żołnierzami ciągnęły tłumy obywateli Kapui, pragnących przyjrzeć się masakrze niewolników. Chcieli skorzystać z wyjątkowej sposobności — bezpłatne widowisko, bezpłatne zapasy. Co za okazja!

Wszystko mogłoby się być skończyć teraz czy przed godziną, albo za miesiąc. W każdej bowiem chwili mógł nastąpić koniec powstania. Nieraz przecież zdarzało się, że niewolnicy uciekali z niewoli. Gdyby ci niewolnicy uciekali teraz po prostu w pole lub do lasu, to mogliby żyć przez kilka tygodni czy miesięcy jak zwierzęta, żywiąc się korzonkami bądź tym, co uda się im ukraść po drodze. Jeden po drugim wpadliby w końcu w ręce pogni i jeden po drugim zawisłoby na krzyżu. Dla niewolnika nie było schronienia ani obrony. Taki już był porządek świata. I gdy Spartakus przyglądał się nadbiegającym żołnierzom, fakt ten stanął mu jasno przed oczyma. Nie ma ucieczki dla niewolnika. Nie ma dlań kryjówki. Trzeba odmienić świat.

Zatrzymał się w biegu, przystanął i krzyknął: „Będziemy walczyć!”

Znacznie później Spartakus pytał samego siebie: „Kto opisze nasze walki, nasze zwycięstwa i nasze porażki? I kto o nas powie prawdę?” Prawdą niewolniczą była prawda zupełnie inna od uznanej prawdy czasów, w których żył. Prawda taka, jaką widzieli niewolnicy, była po prostu nieprawdopodobna, nie dlatego, że jej nie było, lecz dlatego, że nie mieściła się w tamtej rzeczywistości. Żołnierze byli liczniejsi od niewolników i żołnierze byli ciężko uzbrojeni. Ale żołnierze nie przypuszczali, że niewolnicy będą walczyć. Niewolnicy natomiast wiedzieli z góry, że żołnierze staną do walki. Niewolnicy natarli na żołnierzy ze wzgórz, a żołnierze, którzy biegli otwartym polem, jak myśliwi biegnie za zającem, nie zdołali wytrzymać natarcia, rzucili włóczniami na oślep i padali pod gradem kamieni, miotanych z daleka przez kobiety.

Toteż prawdą jest, że żołnierze zostali pobici przez niewolników i musieli uciekać, i prawdą jest, że niewolnicy ścigali ich do samej Kapui. W pierwszej bitwie nie-

wolnicy ponieśli spore straty, w tej drugiej zginęła ich już tylko mała garstka. Żołnierze rzymscy uciekali przed nimi w popłochu. Takie były fakty, lecz później opowiadano o tym wydarzeniu na tysiąc różnych sposobów, a pierwszy raport spisany został przez komendanta wojsk rzymskich w mieście Kapui.

„W szkole gladiatorów Lentulusa Batiatusa wybuchło powstanie niewolników — pisał. — Wielu z nich uciekło i udało się na południe wzdłuż Drogi Appijskiej. Wyściliśmy przeciwko nim pół kohorty wojsk garnizonowych, lecz garstka niewolników zdołała się przedrzeć i uciec. Nie wiemy, kto jest ich przywódcą i jakie mają zamiary, lecz zdołali już podsyć niezadowolenie wśród okolicznych niewolników i obywateli tutejsi nalegają, by Dostojny Senat poczynił wszelkie kroki, celem wzmocnienia garnizonu miasta Kapui, tak by można było bez zwłoki zdusić rewoltę”. Po namyśle komendant dodał: „Zanotowano liczne objawy gwałtów i obawiamy się, że cała okolica ucierpi na skutek morderstw i grabieży”.

Sam Batiatius oczywiście opowiadał tłumom obywateli kapuańskich o wydarzeniach w swojej szkole. Nikt właściwie nie przykładał do całej sprawy większego znaczenia, z wyjątkiem samego Batiatusa, który widział, jak praca wielu lat idzie na marne. Ale każdy zdawał sobie sprawę, że w ciągu najbliższego czasu okolica Kapui będzie miejscem dość nieprzyjemnym. Postanowiono poczekać spokojnie, aż ostatni z tych strasznych ludzi (gladiatorów) zostanie zabity albo też schwytany i ukrzyżowany, tak, by inni mogli czerpać z tego naukę. Rozmowy o buncie toczyły się wszędzie i bez przerwy. Każdy opowiadał nieco inaczej, każdy coś ujmował lub dodawał. Życie każdego z nich oparte było na systemie niewolniczym i gdy rozmawiali o buncie, w słowach ich czaił się lęk. Tak było zawsze i tak miało być jeszcze przez długie lata.

„O tak, właśnie odbywałem kurację w Kapui, gdy wybuchł bunt Spartakusa. O tak, widziałem go na własne oczy. Był to olbrzym. Widziałem, jak nadział małe dziecko na włócznię. Był to straszny widok”.

Powtarzano takie historie w tysiącach odmian. Lecz prawda była jedna i taką miała wymowę, że sam Spartakus nie zawsze zdawał sobie z niej sprawę; bo tak daleko wyprzedził własną epokę. Niewolnicy, których prowadził, pobili w dwóch potyczkach rzymskich żołnierzy. Oczywiście, była to zaledwie garstka drugorzędnych wojsk garnizonowych, zepsutych wygodnym życiem w miejscowości kąpielowej, jaką była Kapua. Przeciwnie nim stały grupy najsprawniejszych zapasników Italii. Lecz nawet gdy to wszystko wziąć pod uwagę, pozostaje faktem, że dwukrotnie w ciągu jednego dnia niewolnicy uderzyli na swych panów i dwukrotnie ich pobili. A to był fakt wstrząsający. Żołnierze uciekli, a niewolnicy pozostali na miejscu. Gdy Spartakus ich wzywał, zbierali się posłusznie. Byli zdyscyplinowani i w ciągu kilku godzin Spartakus stał się dla nich bogiem. Pozbyli się lęku i rozpierała ich duma. Obejmowali się nazwajem w sposób wskazujący, że oto skończyli z odwieczną maksymą gladiatorów, głoszącą, iż „gladiator nie przyjaźni się z gladiatorem”. Nagle stali się sobie bliscy. Przemawiał przez nich instynkt, bo nie mieli przecież czasu ani tego przemyśleć, ani się nawet zastanowić. Byli to zresztą ludzie prości, nieświadomi rzeczy, na których spadło nagle olśnienie. Patrzyli po sobie, jak gdyby się po raz pierwszy widzieli, i być może, że tak było rzeczywiście. Przecież dotąd nie

śmieli nawet spojrzeć na siebie. Czyż kat spogląda w oczy swej ofierze? Ale teraz nie byli już katami i ofiarami. Byli braćmi, braćmi w zwycięstwie, i Spartakus pojął nagle, jak to było na Sycylii i w wielu innych miejscach, gdzie zbuntowali się niewolnicy. Czuł ich ogromną siłę, albowiem część tej siły tkwiła teraz w nim samym. Ożywczy strumień tej siły przepływał przezeń i niweczył wszystkie dawne cierpienia i lęki, niweczył pamięć wszystkich doznanych krzywd i upokorzeń. Przez tyle lat kurczowo trzymał się życia, przez tyle lat bronił się przed śmiercią wszelkimi sposobami, iż mogło się zdawać, że teraz zacznie cenić życie ponad wszystko. Lecz nie, teraz nie bał się już śmierci, ani myśli o śmierci, albowiem śmierć przestała mieć znaczenie...

Pięć mil na południe od Kapui, w polu, niedaleko szerokiej Drogi Appijskiej, gladiatorzy, kobiety i niewolnicy, którzy przyłączyli się do nich, zatrzymali się na łagodnym zboczu, nieopodal wielkiego domu, należącego do rzymskiego bogacza. Zbliżało się południe. Po dwóch potyczkach, w czasie marszu na południe, garstka gladiatorów zamieniła się w spory oddział. Gdyby nie było wśród nich Murzynów, można by ich było wziąć z daleka za oddział wojska rzymskiego. Podzielili się zbrojami i bronią poległych żołnierzy. Każdy był już uzbrojony i pełen wiary w siebie. Trudno było sobie wyobrazić, by w tych warunkach potrafiła im się oprzeć jakakolwiek siła, z wyjątkiem może wyborowych zastępów z samego Rzymu. Wraz z niewolnikami z pół, którzy przyłączyli się do nich w trakcie marszu — i nie licząc kobiet — było ich teraz dwustu pięćdziesięciu. Maszerowali trzema oddziałami: Galowie, Afrykanie, Trakowie. Każdym dowodził najlepszy z gladiatorów. Przez tyle lat przyglądał się mustrze rzymskich żołnierzy, że mimowoli uszykowali się w dziesiątki. Wodzem był Spartakus. Na ten temat nie trzeba było dyskusji. Każdy gotów był za niego umrzeć. Znali wiele legend o ludziach, na których spłynęła łaska bogów. Gdy patrzyli na Spartakusa, w oczach ich malowała się wiara.

Balszy ciąg w następnym numerze

HRABINY I BISY



TAK było, tak jest, ale tak nie powinno być, że:

Jest koncert. Solista — powiedzmy skrzypek — właśnie ukończył swój występ z orkiestrą i teraz nadchodzi pora na bisy. Solista jest w sytuacji dawnej panny na wydaniu: bardzo chce, ale uważa, że trzeba się podroczyć. Więc się kłania, wraca za kulisy i znów kłania się i znów wraca, aż nareszcie podnosi instrument do ramienia i bez słowa zaczyna grać. Ludzie są ucieszeni, ale i zakłopotani. Bo dobrze, że gra, ale co gra?... Zamiast słuchać, wypytują jedni drugich i czasem dowiadują się. Lecz bywa i tak, że nawet zawodowi muzycy, obecni na sali, nie mogą rozpoznać jakiegoś rzadko grywanego utworu.

Ten zły obyczaj grywania bisów bez zapowiedzi datuje się z czasów, kiedy pomagał do rozwijania się snobizmu muzycznego.

Na koncerty chodzili podówczas nie tylko prawdziwi miłośnicy muzyki, ale także wytworne damy, które zjawiały się po to, żeby mówiono, iż się na muzyce zna. Damy miały cały arsenał środków służących do tego, by maskować prawdziwy stan rzeczy, to jest zupełne ignorancie muzyczne.

Najklasyczniejszym środkiem było zasłanianie twarzy dłońmi rąk. Z zewnątrz wyglądało to na uduchowione skupienie. Od wewnątrz, na podduszu — zezwalało spokojnie ziewać, przy czym powodowane ziewaniem wstępując pleców i piersi wyglądały od zewnątrz na spazmy zachwyty, artystyczne omdlenia od zbyt silnych wrażeń. — Zakrywając twarz, łatwiej było także myśleć o niebieskich migdałach. Muzyka brzęczała nieszkodliwie, a dama tymczasem zastanawiała się w jakiej sukni pójdzie na najbliższy bal i czy na balu będzie Kocio Z., który jest tak „rozkosznie brutalny“ w tańcu.

W ten sposób zachowywała się dama podczas wykonywania koncertowego programu. Bisy wymagały innej postawy. — Kiedy solista zaczynał grać niezapowiedziany utwór, dama rozpromieniała się. Trzęsła podniesioną głową, powodując migotanie brylantów w kolczykach, i równocześnie machała do taktu trzymanym w ręku „face-

a-main“. To powodowało dodatkowe migotanie brylantów na palcach, a wszystko razem miało znaczyć, że dama zna dany utwór doskonale i właśnie marzyła, żeby ten, a nie inny został odegrany przez solistę na bis.

Jeśli wszakże siedzący obok znajomy pytał damę nieśmiało o tytuł i autora utworu, dama oburzała się:

— To pan tego nie wie? Nie uwierz! Może pan jeszcze powie, że nie był na ostatniej wystawie w Zachęcie?

Znajomy, czerwony ze wstydu, odpowiadał prędko:

— Byłem, pani hrabino.

— A widział pan portret prezesowej Końskiej?

— Doskonale, pani hrabino!

— Wyśmienity, arcyświecny! Nie mogę tylko zrozumieć malarza, dlaczego nadał prezesowej wyraz rozważnego skupienia. Bo przecież wiadomo, że ona rozumem nie grzeszy, jest raczej mało rozgarnięta, a nawet zaryziko-

wałabym twierdzenie, że to — kompletna idiotka.

Dzięki takiemu klasycznemu „unikowi“ hrabina mogła nie odpowiadać na pytanie, zachowując opinię doskonałej znawczyni muzyki, na której nie znała się ani w ząb.

Oto był wytworny cel, któremu służyły dawniej bisy bez zapowiedzi. —

Dziś wszakże snobistycznych hrabin nie ma już w naszych salach koncertowych. Jest natomiast nowa publiczność, garnąca się do muzyki szczerze i prosto. Tę publiczność trzeba — uczyć i szanować.

Zapowiedziany bis może wzbogacić wiedzę nowego odbiorcy muzyki, niezapowiedziany — może wywołać skutki ujemne.

— Nie potrafię odgadnąć, co to jest, widocznie jestem za głupi! Nie dla mnie ta cała mądra muzyka — powie sobie nowy odbiorca, jeśli jest nadmiernie wrażliwy i ambitny, no i — przestanie chodzić na koncerty.

Tymczasem winienby raczej zdać sobie sprawę, jakim w ogóle nonsensem są bisy bez zapowiedzi!

Zadnemu aktorowi-recytatorowi nie przysłoby do głowy, żeby wejść na estradę i zacząć czytać bez zapowiedzi fragment np. „Popiołów“ Żeromskiego, w tej nadziei, że wszyscy słuchacze natychmiast odgadną, iż to jest Żeromski i że właśnie „Popioły“. Natomiast większość solistów-muzyków do dziś staje przed publicznością, sięga lekką ręką do niezmierzonego spichrza muzyki i — zuca na bis raz to, raz tamto ziarno, zupełnie pewna że wszyscy z miejsca będą wiedzieć o jakiej utwor chodzi.

Nie wiedzą, mają prawo nie wiedzieć i mają prawo dowiedzieć się. — Więc poprawcie się, moi drodzy i — przed graniem bisów — zapowiadajcie głośno i wyraźnie utwór oraz kompozytora.

W przeciwnym razie będę podzegał ludzi, żeby chórem pytali z sali:

— A co to?

J. WALDORFF

ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ PRASY RADZIECKIEJ NA ROK 1953

przyjmują Oddziały i Delegatury „Ruchu“, urzędy pocztowe, listonosze oraz kolporterzy w zakładach pracy i w szkołach. Dla zapewnienia ciągłości dostawy dzienników i czasopism ZSRR pożądane jest jak najwcześniejsze zgłaszanie zamówień oraz zamawianie prenumeraty na dłuższe okresy (półroczny lub roczny)



...Rozkłada 30 par okularów...

170 PO RAZ PIERWSZY



...Prezentuje trzy barchanowe pieluszki...

ULICA Bielańska. Pada gęsty deszcz. Co chwila przebiega tędy jakiś przechodzień, rozgląda się, poczem znika w bramie pod numerem piętnym. Ukryty za ogródkiem warzywnym stoi tam drewniany barak. Kiedy zajrzeć przez szybę, zobaczyć można stojącego za stołem mężczyznę w zielonym stroju podobnym do munduru gajowego lub alpejskiego strzelca. Przed stołem siedzi i stoi zgromadzona publiczność różnej płci i wieku. Mężczyzna w zielonym stroju podnosi nad głowę czarno oprawną grubą książeczkę. Obraca się z nią powoli, jakby ukazywał jakiś straszny dowód przestępstwa lub żądał przysięgi od zgromadzonych. Mówi coś. Zatrzymuje się. Znowu coś mówi. Potem wręcza książeczkę komuś z tłumu. Ki! Licho, czarna msza? Seans apirytystyczny? Z kolei mężczyzna w zielonym stroju podnosi koto rowerowe, rozpina nad głowę parasolkę, chwytą za pięć łasek, za wentylator, rozkłada trzydzieści par okularów, prezentuje trzy barchanowe pieluszki.

Droży przyjaciele, to tylko licytacja rzeczy znalezionych, zorganizowana w tym baraku przez Stołeczną Radę Narodową, a mężczyzna w zielonym stroju jest urzędnikiem IV Wydziału Finansowego tejże Rady.

W tej chwili słychać jak oznajmia: garnitur męski granatowy. Cena szacunkowa: 150 złotych. Z tłumu słychać głosy: 150! 170!

Licytator: 170 po raz pierwszy!

Głosy: — 180!
— 190!
— 200!
— 220!

Wreszcie licytator: 220 po raz pierwszy, 220 po raz drugi, 220 — tu następują trzy uderzenia w stół — po raz trzeci! Kto powiedział 220? Powiedział Bronisław Klimek. Garnitur wędruje do rozpięzionego od licytacji obywatela Klimka. Ludzie są ożywieni. Licytacja to rzecz rzadka, a ta na domiar pełna jest niespodzianek. Nigdy nie wiadomo, co jeszcze wyniesie z takiego baraku amator licytacyjnego hazardu. Lornetkę? „Potop“? Modlitewnik? Dwie pary apodenek sportowych? Maselniczkę? Wołtomierz z futerałem? — Takie bowiem rzeczy znaleźć można w obrębie miasta Warszawy.

Spis licytowanych przedmiotów potrafiłby rozbudzić wyobraźnię najsmutniejszego z ludzi. Ten garnitur męski... A trzy pieluszki... A karafka do oliwy? A osiem kluczy słusarskich?

Może zgubił je słusarz, a może niebezpieczny włamywacz, oprych, nieprzyjaciel opuszczonych mieszkań?

Droży Czytelnicy, wiem że taki spis nie potrafiłby Was niczym zaskoczyć, nie cytuję go więc dalej. Każdy z Was gubił już pewnie najdziwniejsze rzeczy, bo przecież i Was może dotyczyć ta lista, i cokolwiek przytoczę, zawoła tylko: a ja, w dniu mojego ślubu... Albo: a ja, kiedy wsiadałam do pociągu... I potoczą się wspomnienia rodzinne, towarzyskie, biurowe...

Z Waszą pomocą, droży Czytelnicy, mogliśmy ułożyć krótką systematykę pod tytułem: *Co, gdzie i jak się gubi?* Pomyślcie, czy nie warto? Ile czasu w życiu każdego domu zajmuje omawianie, oplakiwanie i wysmiewanie najróżniejszych zgub? A ile miejsca zajmuje to w „Expressie“? A ile w „Życiu Warszawy“? A ile, nie szukając daleko, w tym numerze „Świata“? Proponuję pierwszy rozdział zatytułować: *Rzeczy gubią się najchętniej w wielkich miastach*. Napiszemy tam o powodach: ruch, pośpiech, odległość, wielkie zbiorowisko ludzi. Czy w Stoku pod Kielcami może ktoś zgubić rower? Zaraz zawołają: z czerwonym pluszowym szedłem? To naszego listonosza.

Rozdział drugi: *Jakie rzeczy się gubią?* Odpowiedź: Zawsze nowinki. (Patrz: zgubiłem „nowinki“...)

Rozdział trzeci: *Kto gubi?* Zrobimy tam obszerną statystykę według płci i wieku. Jeśli chcemy, żeby książka nasza była popularna, napiszemy, że kobiety gubią więcej, a mężczyźni mniej. Jedni będą za to naszą książkę chwalić, drudzy oburzać obelgami. Ale będą czytać. Potem zajmijmy się różnymi zawodami. Powiemy przy tej okazji, w których zawodach gubienie jest niedozwolone.

Powiemy o zgubach zabobnych. Na pierwszym miejscu wymienimy obrączkę. Nie brakło ich w spisie licytowanych rzeczy. Napiszemy o zgubach celowych, i podamy przykład: — Pan coś zgubił! — ktoś woła. Zagadnięty achyla się wściekle i podnosi zgnieciony papier po drugim śniadaniu, którego chciał się pozbyć, opuszczając go dyskretnie na ziemię.

Dla uzupełnienia podamy przykłady z historii powszechnej, bo Czytelnicy to bardzo lubią: jaki król co gubił i dlaczego.

I oczywiście przykłady z literatury. Z anegdotami. Właśnie przyszła mi do głowy jedna: ktoś z naszych pisarzy zgubił kiedyś świetne i drogie pióro wieczne. Kiedy spostrzegł tę zgubę, zamyślił się i powiedział zasmucony: A mówili, że jest wieczne...

(J. H.)

MR. TRUMAN KUPUJE OBRAZY



Prezydent Truman wybrał się niedawno do jednej z waszyngtońskich antykwarni celem nabycia obrazu dla swej żony. A oto wyjątki z reportażu „New York Times” (z 24 września 1952 r.), opisującego przeżycia Mr. Trumana podczas tej wyprawy w krainę sztuki:

Truman Buys Painting for Wife, Trying His Art On First for Size

By PAUL P. KENNEDY
Special to The New York Times.

WASHINGTON, Sept. 23—President Truman took a brief recess from the affairs of state and the political turmoil this afternoon for a bit of an esthetic shopping. After a surprise visit to a Georgetown antique shop, the President came away with a Dutch castle scene, painter unidentified, which he will present to Mrs. Truman to be hung in their Independence, Mo., home. In the course of seventeen minutes, Mr. Truman inspected about 150 paintings in a collection bought a year ago by Charles Kohena for his shop. Quiet Georgetown was startled at 4 P. M. when a squad of Secret Service men set up a guard around Mr. Kohena's small shop. By the time the President's limousine rolled up thirty minutes later, followed by a Secret Service car, a handful of the curious had gathered in front of the shop. Immediately on entrance, Mr. Truman was taken to the shop's second floor by Mr. Kohena. After one look at the large room, the walls of which were lined and the floors stacked with pictures, the President, according to Mr. Kohena, exclaimed: "You've got too damn many pictures here." The President, Mr. Kohena said, had no clear idea about the subject matter, the school or the painter, but he knew the exact size he wanted. "I know exactly the place I want to hang it," the President explained. He was finally torn between the Dutch painting and a landscape by Joseph Turner. The choice went to the Dutch picture but the President was at first insistent on knowing the painter. "Don't ask me that, Mr. President," Kohena said. Continued on Page 18, Column 1

PREZYDENT TRUMAN KUPUJE OBRAZ DLA ŻONY OCENIAJĄC DZIEŁO PRZEDŁO WSZYSTKIM WEDŁUG ROZMIARÓW

Napisał Paul P. Kennedy. Specjalnie dla „New York Times”.

Waszyngton, 23 września — Prezydent Truman oderwał się na krótko od spraw państwowych i wiru politycznego, by udać

się po południu na artystyczne zakupy. Po niespodziewanej wizycie w antykwarni w Georgetown, prezydent

stał się posiadaczem holenderskiego płótna nieznanego malarza, które zamierza ofiarować pani Truman, by ozdobiła nim ich mieszkanie w Independence, w Missouri.

W ciągu 17 minut prezydent obejrzał około 150 obrazów, pochodzących z kolekcji nabytej przed rokiem przez antykwariusza Charles Kohena...

Natychmiast po wejściu do sklepu, Mr. Truman zaproszony został przez antykwariusza na drugie piętro. Rzuciwszy okiem na salę obwieszoną obrazami, prezydent — według słów p. Kohena — zawołał:

— Macie tu, u licha, za dużo obrazów!

Prezydent nie miał dokładnego wyobrażenia o treści obrazu, który pragnie nabyć, ani o szkole czy malarzu, ale dokładnie wiedział, jakich rozmiarów ma być obraz.

W dalszym ciągu reportażu znajdujemy tę kluczową informację, która zdecydowała o wyborze obrazu przez prezydenta Trumana:

„Obraz wymiaru 20 na 35 cali oprawiony był w ciężką, połączoną ramę”.

Nie wątpimy, że prezydent Truman, jako prawdziwy esteta i znawca sztuki (150 obrazów obejrzał w 17 minut!!), nie dał się zasugerować samymi tylko rozmiarami płótna. Na pewno i ta połączona rama wpłynęła na ostateczną decyzję...

GWIAZDKA 1952 W USA



ubioiry do wojny chemiczno-bakteriologicznej, bomby lotnicze — oto co znajduje dzieci amerykańskie pod tegoroczną choinką.

Tygodnik „Time” (29 września 1952 r.) rzuca nieco światła na kulisy produkcji tych zabawek:

„Eksporter niemiecki Guenther Lukas z Hamburga zamierza w roku bieżącym zarzucić rynek zabawek gwiazdkowych w Stanach Zjednoczonych najbardziej nowoczesną choć niewątpliwie grozę budzącą zabawką: rakietą, ściśle wzorowaną na niemieckiej V-2 z czasów wojny... Cena loco Niemcy — 5 dolarów”.

Możemy być pewni, że fabrykanci amerykańscy nie dadzą się ubiec zachodnio — niemieckiemu konkurentowi. Wymyślą coś jeszcze okrutniejszego.

Agencja amerykańska „Associated Press” rozsyła zdjęcia modeli zabawek, przygotowanych przez fabrykantów amerykańskich na gwiazdkę 1952 roku. Pociski rakietowe, atomowe, karabiny maszynowe,

ZGADUJ ZGADULA



Oto jest angielska rzeźbiarka p. Barbara Hepworth, sfotografowana przy swym ostatnim arcydziele pt. „Mężczyzna i kobieta”, wystawionym w Galerii Lefevre w Londynie. Który z dwóch klocków wyobraża mężczyznę, a który kobietę — tego niestety nie mówi agencja Keystone, która nadesłała nam to zdjęcie, a nasza znajomość anatomii też się tu nie przydała. Nie wiemy również, kto pozował do jej pracy i czy podobieństwo zostało przez nią dobrze uchwycone. Nie wiemy też, czy rzeźbiarka gładzi pieszczotliwie swego „mężczyznę” (albo „kobietę”?) po nosie, czy po potylicy. Zapytujemy wreszcie, dlaczego rzeźba nazywa się tak — a nie np. „Świt atlantyckiej kultury” — to chyba byłoby właściwsze?!

KNAJPA W CHICAGO

Kongresman John C. Kluczynski z Chicago, który oprócz pełnienia funkcji członka Izby Reprezentantów USA jest także właścicielem restauracji, postanowił w godny sposób uczcić konwencję przedwyborczą partii demokratycznej, do której należy. Opracował przeto na czas trwania konwencji specjalne menu, które jedno z pism polonijnych „The Polish American Journal” (9 sierpnia 1952 roku) tak zachwalało:

W przekładzie polskim: „Restauracja Syrena, stanowiąca własność kongresmana John C. Kluczynskiego, ogłosiła specjalne Pamiątkowe Menu ku czci Konwencji, zachwalające kielbasę polską domowego wyrobu oraz kiszoną kapustę za dolarów. 1.50. Menu zaopatrzone następującą sentencją: „SYRENA: Miasto Warszawa obróciło sobie syrenę za herb. Warszawa jest od dawna centrum kulturalnym Polski. Toteż przy wyborze nazwy odpowiadającej polskiej godności i wybornym, renomowanym epikurejskim smakom, zdecydowaliśmy się na Syrenę. Syrena przyozdabia nasz lokal i wyrobiła nam reputację, że tu się dobrze je

i jest się dobrze obstużonym”.

Nie kwestionujemy znawstwa Mister John C. Kluczynskiego w zakresie kiszzonej kapusty, ale pojęcia o kulturze i godności zaczerpnął stanowczo nie od warszawskiej syreny, lecz od osła, który jest godłem jego partii. I bardzo by się pięknie ten osiołek prezentował nad chica-gowską knajpą. Proszę popatrzeć:



GEOGRAFIA PO AMERYKAŃSKU

Strasburg — jak wiadomo — leży w Alzacji, Alzacja zaś jest — integralną częścią terytorium Republiki Francuskiej. Dwukrotnie w ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat Alzacja padła ofiarą zaborczości imperializmu niemieckiego i została anektowana przemocą przez Rzeszę w r. 1871 i 1940. Rewizjonizm zachodni niemiecki marzy dziś znowu o zagarnięciu Alzacji. A dziennik amerykański „New York Times” w numerze z dnia 19 września 1952 roku już się pośpieszył z przyznaniem Strasburga Niemcom, ogłaszając telegram własny, datowany w następujący sposób:



czyli:
STRASBURG, NIEMCY, 18 września.
Tak to reakcja amerykańska

pragnęłaby jak najszybciej zaspokoić apetyty neohitlerowców z Bonn.

POWSZECHNE NAUCZANIE

Ogłoszenie w dzienniku „Times”, Londyn:
„Nauczyciel z akcentem szkockim potrzebny natychmiast do inteligentnej papugi”.

Oto prawdziwa troska o powszechność nauczania i poziom wykształcenia w Anglii! Zwłaszcza ten akcent...

TEATR SWIAT

DIREKCJA I TEKST: J. SZELĄG DEKORACJE I KOSTYUMY: HA-GA

WIECZÓR PAŹDIERNIKOWY

Obrazek w jednej odsłonie

Ławka pod rozłożystym drzewem. Zapada zmierzch.

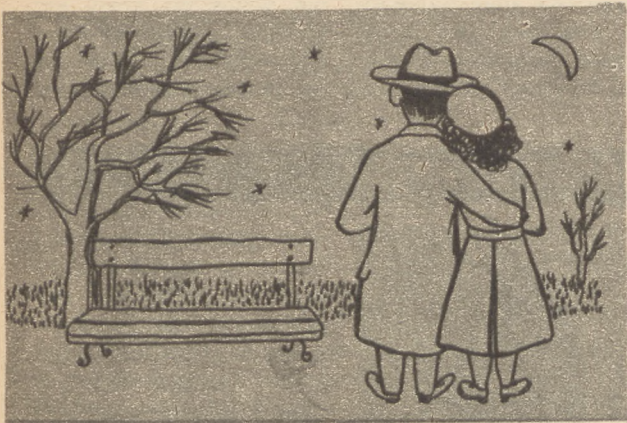
ON: Chyba już wszyscy byli! Murarz Kowalski z całą rodziną...

ONA: ...emerytka spod 14-go...

ON: ...nauczycielka-wdowa z synem...

ONA: ...ta para studencka z trzeciego piętra...

ON: ...i ten poeta, który takie piękne wiersze pisze. Pamiętasz ten wiersz o księżycu, który nam deklamował, gdyśmy przyszli z nim porozmawiać?



ONA: Oczywiście pamiętam. Pamiętam wszystkie nasze odwiedzin w naszym obwodzie. Pamiętam wszystko, co mówiłeś, jak rozmawiałeś z tymi ludźmi. Mówisz naprawdę z takim zapalem! Strasznie lubię słuchać, jak mówisz.

ON: To przyjemnie ludzi przekonywać. I potem widzieć rezultaty: jak już świadomie, z przekonaniem idą do głosowania.

ONA: Widzieliśmy, wszyscy przyszli, wszyscy głosowali.

ON: Tak się skończyła nasza praca.

ONA: Szkoda!

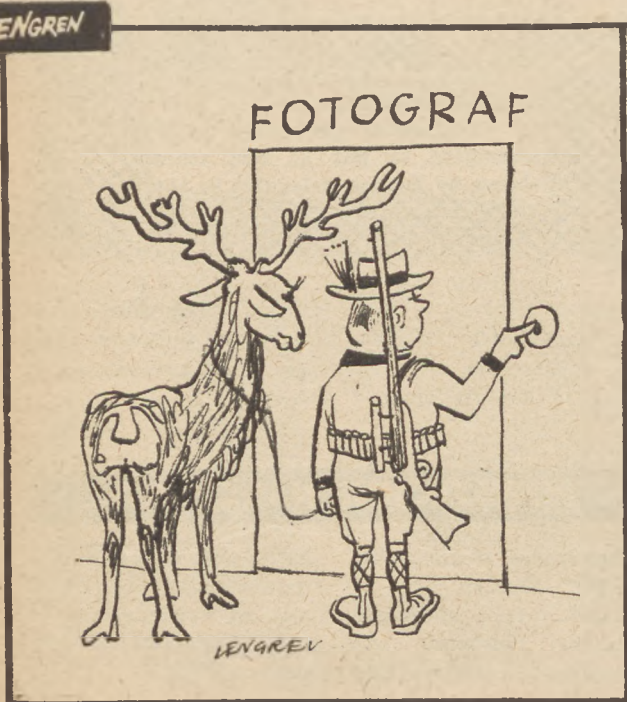
ON: Jak to szkoda?

ONA: Szkoda, że już nie będziemy się widywali codziennie, jak w ostatnim czasie.

LUPE LUNETE

WĘGIEL ZMIENIA ATMOSFERĘ

Atmosfera ziemi zawiera około 0,03% dwutlenku węgla, co stanowi 2200 miliardów ton. Ludzkość przez spalanie węgla i ropy naftowej dostarcza obecnie atmosferze blisko 5 miliardów ton



ON: Przecież możemy i tak się spotykać.

ONA: Chciałbyś?

ON: Czy bym chciał! Muszę ci powiedzieć, że takich pięknych, niebieskich oczu jak twoje, nie widziałem nigdy w życiu.

KSIEŻYC (wschodzi).

ONA: Ale czy to wolno mówić takie rzeczy w tak ważnym dniu?

ON: Prawo do szczęścia osobistego...

ONA: Ah, jak ty umiesz mówić! Już mnie przekonałeś.

ON: Pozwól skończyć. Przecież to wszystko dzieje się i po to także, by tysiące takich dziewczyn jak ty... No, nie takich, bo taka jest tylko jedna, ale tysiące innych, ale także miłych, ładnych, choć nie tak jak ty... Otóż żeby te dziewczęta i tysiące chłopców mogli siedzieć pod drzewami przy księżycu i...

ONA: i?

ON: Wiesz, to trudne. Ale ja już od dwóch tygodni...

Wiesz...

ONA: Ja też.

ON: I ja chyba dlatego umiałem mówić tak przekonująco, bo miłość...

ONA: Ja myślę, że miłość, to coś najbardziej przekonującego.

ON: Dziwiłem się, że ci starsi, do których przychodziliśmy, patrzyli na nas z taką radością.

ONA: Może już wtedy widać było, że się kochamy?

ON: I może dlatego tak łatwo dawali się przekonywać?

ONA: Może była w nas z tej miłości jakaś wielka siła?

ON: Miłość — największa agitatorka!

ONA: Patrz, patrz, idzie Kozłowski — trzeci z naszej trójki.

KOZŁOWSKI: Przyszedłem, bo myślałem, że mogę być wam potrzebny.

ONA: Przecież już zakończyliśmy agitację. Czy wiecie, że z domu, w którym agitowaliśmy wszyscy głosowali?

KOZŁOWSKI: Byłem przekonany, że tak będzie. Ale myślałem, że wam osobiście będę potrzebny.

ON: Nam? Osobiście?

KOZŁOWSKI: No tak. Jestem przecież urzędnikiem stanu cywilnego.



KSIEŻYC (już bez opamiętania świeci nad całą Polską wszystkim zakochanym).

KURTyna

dwutlenku węgla rocznie. Liczba ta rośnie z każdym rokiem i przypuszczalnie za 200 — 300 lat ilość dwutlenku węgla w atmosferze winna się podwoić.

Wywoła to poważne zmiany w warunkach życia na naszej planecie, zmiany raczej korzystne. Uczeń oblicza, że m. in. przeciętna temperatura powierzchni ziemi podniesie się o 4 stopnie. Spowoduje to duży wzrost roślinności na ziemi, a więc i wzmożone pochłanianie dwutlenku węgla przez rośliny. Toteż ludzkość może nie obawiać się uduszenia z powodu nadmiaru dwutlenku węgla...

WIDZIALNE NIC

Nazwa w nagłówku odnosi się do komet, które strachu napędzały ludziom w średniowieczu. Paniczny strach przed zderzeniem ziemi z kometą, podniecały jeszcze przez duchowienstwo i astrologów, kosztował ludzkość niemało ofiar.

Zderzenia ziemi z kometami są rzeczywiście groźne, ale wyłącznie dla tych ostatnich. Komet bowiem (z wyjątkiem niewielkiego jądra) składa się z materii niesłychanie rozrzedzonej i nawet zetknięcie z atmosferą ziemi powoduje w niej apokaliptyczny wybuch. Tak na przykład w roku 1877 ziemia zniszczyła do reszty jądro jednej z komet (obserwowano w tym czasie deszcz meteorów — szczytków komety), a 19 maja 1910 roku uszkodziła poważnie „ogon” komety Halley'a.



W takiej postaci „widzieli” latowowierni obserwatorzy kometę w r. 1527 (wg. sztychu z XVI w.)

NIE WIERZCIE FILOZOFOM!

W ubiegłym stuleciu znany filozof, twórca tak zwanej filozofii pozytywistycznej, August Comte, oświadczył: „Istnieją problemy, które dla rozumu ludzkiego pozostaną zawsze niezbadane, na przykład skład chemiczny ciał niebieskich”.

Już w niewiele lat później, po odkryciu metody analizy widmowej, fizycy zaczęli badać skład chemiczny nie tylko słońca, ale i odległych gwiazd. Doszło nawet do tego, że jeden z pierwiastków — gaz szlachetny, hel — odkryto wcześniej na słońcu niż na ziemi!

BENEDYKT HERTZ

ANTONIEGO PHILIPSA BARDZO GORZKIE ŻALE

Polsko Becków, Sławojów,

Polsko Rydzów Śmigłych!

ty, Philipsa klientów

wzorze niedościgły!

Jak nie tęsknić za tobą!

Jak zgodzić się z myślą,

że już ci moje biura

towaru nie wysła?

A Polak dobrze płacił

bo frajera kawał.

Wszystko, co szło z Zachodu

za dobre uznawał.

Byle komitwojażer,

jeśli nie półgłówek,

pozbywał się w Warszawie

najgorszych żarówek...

Tu mogliśmy sprzedawać

najstarsze głośniki,

których już brać nie chciały

buszmeńskie kacyki;

tu w paradę nie wchodził

nam przemysł krajowy,

słaby i nieporadny.

A gdyby do głowy

Przyszło komu próbować

z nami konkurencji —

łatwo paraliżować

mogliśmy te chęci.

Kupowałeś w urzędzie

porcję życzliwości

i wnet projekt natrafiał

na góry trudności.

I był spokoj. A Philips

mógł napełniać kiesę,

mierząc potrzeby kraju

tylko swym byznosem.

A dziś co?... Wkrótce dawnej

Polski nie poznacie.

Elektrycznie popędzać

chce cywilizację.

Budowa nowych fabryk

jest tam coraz szybsza —

nie słyszysz już w Warszawie

głośników Philipsa.

Już nie wróci sanacji czas błogosławiony,

gdy przywoził tysiące — wywoził miliony...

Drodzy Czytelnicy!

Wielu z naszych Czytelników w okresie przedwyborczym nadsyłało listy, w których podkreślali solidarność z Programem Wyborczym Frontu Narodowego i doniosłość historycznego aktu wyborczego w dniu 26 bm. M. in. ob. T. Szuliński z Warszawy, oceniając wagę obywatelskiego i patriotycznego czynu wyborczego, podjętego przez ludzi pracy miast i wsi, stwierdza:

„Wszyscy uczciwi ludzie dokładają starań w codziennej pracy w fabryce, na roli, w biurze, bo rozumieją, że przyspieszenie wykonania zadań Planu 6-letniego jest najważniejszą sprawą narodu i najistotniejszą treścią Programu Wyborczego Frontu Narodowego. Ale są jeszcze ludzie — pisze ob. Szuliński — którym się zdaje, że obojętny stosunek do wyborów i głosowania, wpływający czy to z lenistwa umysłowego, czy z krótkowzroczności politycznej — nie przyniesie nikomu szkody, więc można sobie przejść obok tej sprawy. A to, zdaje mi się, jest fałszywym rozumowaniem, a nawet więcej, bo szkodliwym. Nie przechodzi się przecież obojętnie obok MDMu, Nowej Huty, żłobków, przedszkoli, nowych szpitali i domów wczasowych. Nie przechodzi się obojętnie wobec tego wszystkiego, co jest dowodem naszego rozwoju i rozkwitu. A więc nie można być obojętnym w dniu głosowania, bo to byłoby zaprzeczeniem patriotyzmu; byłoby wodą na młyn naszych wrogów, którym nie w smak jest nasz Front Narodowy, stanowiący wielką siłę budującą Polskę niepodległą, Polskę dobrobytu, Polskę ludzi pracy.

„Piszę te słowa, Panie Redaktorze, w przekonaniu, że trzeba jeszcze wielu ludziom rozświecić w głowie, bo często nieświadomie, nie spostrzegając się nawet, mogą stanąć po stronie, która daleka jest od patriotyzmu i godności Polaka. Moim zdaniem, obojętność w dniu wyborów wykaże tylko wróg, i na pewno nie chciałby na to miano zasłużyć ten, który z bliżej nieuzasadnionych powodów miał zamiar przejść obojętnie obok urny wyborczej”.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 32 (55)

KOMBINATKA SZYFROWANA: Realizacja Planu Sześciolatniego to nasz najcenniejszy wkład w dzieło Pokoju (zap-lata, kon-kury, roś-lina, jas-kier, glu-koza, hod-owca).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 55 nagrody książkowe otrzymują:

- 1) T. Benken — Warszawa, ul. Rutkowskiego 29, „Dom Książki”;
- 2) D. Chromińska — Mragowo, Liceum Pedagog.,
- 3) M. Cieplik — Poznań, ul. Rokossowskiego 121, 4) T. Dyoniak — Łódź, ul. Orta 15, 5) Z. Głowczewska — Aleksandrów Kuj., ul. POW 9, 6) Z. Kaśka — Przasnysz, ul. Bieruta 12, 7) H. Klubówna — Wrocław, ul. Śrutowa 6, 8) T. Koza — Łódź, ul. Piotrkowska 158, 9) Z. Kruszkowski — Gliwice, ul. Szopena 28, 10) P. Leszczyńska — Pabianice, skr. poczt. 70, 11) K. Michalski — Warszawa, ul. Odoleńska 7, 12) S. Młynarczyk — Wrocław, ul. Książkiewicz 30, 13) E. Nolte — Szubin, ul. Winica 44, 14) K. Ruskowska — Inowrocław, ul. Poznańska 365, 15) W. Sawicki — Poznań, ul. Sowińskiego 20, 16) A. Słowacka — Warszawa, ul. Łubelska 30, 17) H. Staszakowa — Bytom, ul. Katowicka 26, 18) T. Śnieśko — Tłoknia, p-ta Opatówek, 19) W. Tumidański — Szczecin, ul. Armii Czerwonej 1, 20) A. Wysocki — Kwidzyn, ul. Wybickiego 8.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 33 (56)

LOGOGRYF: Pałac Kultury i Nauki (kwintale, turkawka, politura, pastylka, kapturka, koldarka, romantyk, Saraceni).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 56 nagrody książkowe otrzymują:

- 1) B. Bukowski — Łódź, ul. Piotrkowska 152, 2) Z. Czaplicki — Katowice, ul. Szafranka 1, 3) A. Delatowska — Warszawa, ul. Dolna 12, 4) H. Frej — Toruń, ul. Konopnickiej 27, 5) S. Frenkiel — Warszawa, ul. Asfaltowa 13, 6) I. Gajewska — Poznań, ul. Rogalińskiego 11, 7) S. Góral — Łódź, ul. Próchnika 18, 8) L. Górski — Błonie, Rynek 9, 9) E. Gugulski — Jędrzejów, ul. 14 Stycznia 76, 10) Z. Jędrzejczak — Miłom, ul. Rejtana 1, 11) J. Jung — Chełm, ul. Stephensa 3, 12) W. Kotłowski — Pruszków, ul. Ołówekowa 27, 13) H. Ławrowska — Wrocław, ul. Piastowska 56, 14) M. Łabęcka — Katowice, ul. Astrów 2, 15) F. Łukasiewicz — Pabianice, ul. Warszawska 121, 16) S. Majewski — Warszawa, ul. Elekoralna 16/18, 17) Z. Michalowski — Koźnice, ul. Warszawska 18, 18) H. Szczepara — Łódź, ul. Gdańska 4, 19) Z. Rzepka — Kwidzyn, ul. Gimna-

W ATLANTYCKIEJ „RODZINIE“

Obawiając się opinii publicznej rząd Pinay'a zmuszony był odrzucić notę amerykańską, utrzymaną w niestychanie obraźliwym tonie (z prasy).



Rys. Charlie

Pinay do Achesona: — Pozwól przynajmniej zamknąć okno, żeby sąsiedzi nie słyszeli.

Uwagi ob. Szulińskiego zamieszczamy z głęboką satysfakcją, są one bowiem głosem człowieka, pojmującego jasno patriotyczny obowiązek wobec narodu, zjednoczonego w walce o pokój i Plan 6-letni.

W związku z listem ob. Jankowskiego na temat kolportażu broszur przedwyborczych, Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch” nadesłało nam następujące wyjaśnienie:

„Fakty przytoczone w wyż. wym. artykule, a dotyczące niedostatecznego zaopatrzenia niektórych punktów sprzedaży komisowej „Ruchu” w broszury i wydawnictwa wyborcze, niewątpliwie mogły mieć miejsce.

Ten stan rzeczy zaistniał na skutek tego, że w początkowej fazie rozprowadzania wydawnictw wyborczych nakłady tych wydawnictw były stosunkowo (w porównaniu do wielkiego zainteresowania wyborców) niedostateczne. Olbrzymia większość tych nakładów, w wyniku polecenia odpowiednich instancji, była przeznaczona do rozprowadzania przez agitatorów i aktywistów Komitetów Wyborczych Frontu Narodowego. W rezultacie do punktów sprzedaży komisowej byliśmy w stanie dostarczać niewielkie ilości wydawnictw wyborczych, które były z reguły natychmiast niemal wykupywane.

Obecnie w wyniku wznowienia druku całego szeregu wydawnictw wyborczych i ukazania się kilku nowych tytułów z tego cyklu — byliśmy w stanie wydać naszym placówkom terenowym polecenia zwiezienia nadziałów literatury wyborczej dla punktów sprzedaży komisowej.

W związku z tym ilości zostaną zaopatrzone w dostateczną ilość literatury wyborczej.

I tym samym nie powinniśmy już słyszeć, słusznych zresztą, żalów, na temat wadliwego kolportażu.

ŚWIAT

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telef. my: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4.—, kwartalna zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna zł 48.—.

Zakłady Włósnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. 612. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 3-B-26568

zjalna 3, 20) O. Skoczowska — Wieliczka, ul. Czarnochowska 3. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 34 (57)

KOMBINATKA: Spółdzielczość Produkcyjna podstawą przebudowy struktury naszego rolnictwa (jastrząb, Seged, liść, kuropatwy, czółno).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 57 nagrody książkowe otrzymują:

- 1) J. Brzeska — Ciechanów, ul. Stalina 22, 2) J. Czechowicz — Jelenia Góra, ul. W. P. 18, 3) W. Duda — Warszawa, ul. Sienna 32, 4) R. Dziubiński — Warszawa, ul. Powązkowska 62, 5) J. Głazek — Tarnobrzeg, P. D. K., 6) T. Guziur — Katowice, ul. Warszawska 10, 7) J. Konstantynowicz — Krosno n/Wisłokiem, ul. Bursaki 2, 8) J. Kowalczyk — Wrocław, ul. Przybyszewskiego 37, 9) A. Kudła — w. Klepaczk 6, pow. Czeszochowa, 10) K. Łukasiewicz — Sosnowiec, ul. 3 Maja 2, 11) J. Markiewicz — Lublin, ul. Drobna 48, 12) R. Miński — Poznań, ul. Chociszewskiego 19, 13) H. Mucha — Szczecin, ul. Górczyńskiego 4, 14) J. Nowak — Dąbrowa Górnicza, ul. Kościuski 10, 15) A. Nowakowski — Warszawa, ul. Okopowa 7a, 16) W. Nowicki — Warszawa, ul. Foksal 17, 17) S. Romanowicz — Sulejów, ul. Łączna 6, 18) M. Smulewska — Warszawa, ul. Wołoska 32, 19) J. Vetulani — Kraków, ul. Garncarska 4, 20) A. Wysocki — Kwidzyn, ul. Wybickiego 8.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

MECZ SZACHOWY

„Świat” — Czytelnicy

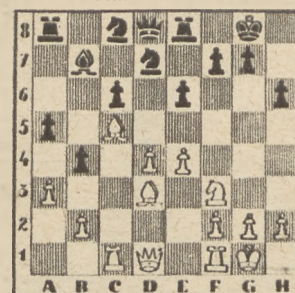
W swoim 18 posunięciu dość duża część Czytelników zaproponowała ruchy o wyraźnie ofensywnym charakterze: w partii W20 b5 z późniejszym Hb6+, zaś w W21 Hc6 w celu W:d3. Większość jednak zrezygnowała z tych łatwych do odparcia grózb.

W partii W1 wybrali Czytelnicy Se7—c8 (35,5%)

przed Sd7—f6 (22,6%) i b4:a3. W partii W20 przeszło g7—g6 (32,3%) przed b6—b5 (19,9%) i Se4:e3. Wreszcie w W21 zdecydowali się Czytelnicy na Sg7—f5 (38,7%) przed Se7—f5 (23,0%) i Hc7—c6.

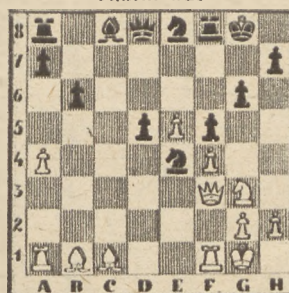
Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji nasze partie wyglądają następująco:

PARTIA W1



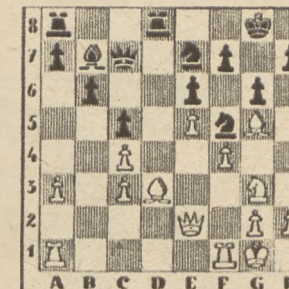
17. e3—e4 Sd5—e7
18. a2—a3 Se7—c8
19. Gd6—c5

PARTIA W20



17. Hd1—h5 Sc5—e4
18. a3—a4 g7—g6
19. Hh5—f3

PARTIA W21



17. Se2—g3 Sc6—e7
18. Hc2—e2 Sg7—f5
19. Gh6—g5

Przypominamy, że odpowiedzi na dziewiętnaste posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, 28 października b. r.

Prokurator generalny USA podjął dochodzenie celem uniemożliwienia powrotu do USA Charlie Chaplinowi, który przebywa w Europie.



Rys. Janjar

Światła wielkiego miasta.

FILATELISTYKA



NOWE ZNACZKI POLSKIE

W ramach Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz w związku z 35 rocznicą Wielkiej Rewolucji Październikowej, w dniu 7 listopada ukaza się w obiegu nowe znaczki wartości 30+15 i 45+15 gr z portretem Lenina (format 22 x 27 mm, zabkowanie 12½) oraz 45+15 i 60 gr obrazujące szturm Pałacu Zimowego (dwa cięte i dwa zabkowane, format 38 x 21 mm). Wszystkie znaczki zostały wykonane techniką stalorytniczą włósnodrukową.

Z. R.



TANIO i ŁADNIE



U góry: luźny płaszcz zimowy podbity futrem (albo watoliną). Materiał ciemnoszary. Kołnierz popielicowy podwinięty (oczywiście może być i inne futro). Wiązanie z materiału. Bardzo szeroki rękaw zakończony dość wąskim mankietem.

Z boku: ciepły kostium jesienno - zimowy dla dziewcząt, względnie kobiet o t.zw. „zacięciu sportowym”. Zakiet wełniany, podbity watoliną albo jeszcze lepiej — kożuskiem. Mały futrzany kołnierz. (Czapeczka także powinna być futrzana). Spódnica z tego samego materiału co zakiet — prosta, z dużym zakładem. Całość uzupełniają: torebka o oryginalnych kształtach pudełka i śniegowce filcowe na „słoninie” albo drzewie. (Można również do tego kostiumu nosić buty skórzane z podszewką filcową — takie, jakie produkuje CPL i A).



